

# PORADNIK

# JEZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1969

5

(270)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:  
prof. dr Witold Doroszewski

Zastępca redaktora: doc. dr Mieczysław Szymczak

#### KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, dr Hubert Górniewicz (Gdańsk), doc. dr Halina Kurkowska  
dr Zofia Mianowska, doc. dr Leszek Moszyński (Toruń), dr Wanda Pomianowska,  
doc. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław Stieber,  
mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)

Sekretarz Redakcji  
mgr Magdalena Foland

#### TRESC NUMERU

|  |     |
|--|-----|
| <i>Mieczysław Szymczak</i> : Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska. W czterdziesto-<br>pięciolecie pracy naukowej . . . . .               | 241 |
| <i>Stanisław Rospond</i> : Ze studiów nad polskim nazewnictwem osobowym. <i>Trze-<br/>cieski — Trzycieski</i> . . . . .                  | 245 |
| <i>Franciszek Lyra</i> : O polszczyźnie Amerykanów polskiego pochodzenia . . . . .   | 252 |
| <i>Eugeniusz Grodziński</i> : O pojęciu wieloznaczności „łańcuchowej” . . . . .  | 258 |
| <i>Józef T. Kania</i> : Patologiczne artykulacje głoski r . . . . .  | 266 |
| <i>Witold Kochański</i> : Z mojego notatnika. IV . . . . .   | 276 |
| <i>Witold Doroszewski</i> : Parę uwag o ciekawej książce . . . . .   | 281 |
| <b>SPRAWOZDANIA</b>  |     |
| <i>Witold Doroszewski</i> : Cele Towarzystwa Kultury Języka . . . . .  | 283 |
| <i>Alojzy Zdaniukiewicz</i> : Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Kultury Ję-<br>zyka za rok 1968 . . . . .                          | 284 |
| <b>RECENZJE</b>  |     |
| <i>Jerzy Podracki</i> : Janina Dembowska, Zofia Jakubowska — Nauczanie języka<br>polskiego w klasach V—VIII szkoły podstawowej . . . . . | 286 |
| <i>Grzegorz Walczak</i> : Leszek Bednarczuk — Polskie spójniki parataktyczne . . . . .   | 289 |
| CO PISZĄ O JĘZYKU? — A. S. . . . .   | 295 |
| OBJASNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W. D. . . . .  | 301 |

Komunikatem nr 142 (PR4-552-29/68) ogłoszonym w Dzienniku Urzędowym Minister-  
stwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 31 grudnia 1968 r. „Poradnik Językowy”  
polecony został jako pismo, które powinno się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej  
i pedagogicznej.

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe: Warszawa, ul. Miodowa 10  
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31 wewn. 180

Nakład 2300 (2132 + 168). Ark. wyd. 5,0. Ark. druk. 4,0. Papier druk. sat. kl. V, 65 g, 70×100  
Oddano do składu 6.III.69. Podpisano do druku w maju 1969. Zam. 496/69. P-98. Cena zł 6.—

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie



# PORADNIK JĘZYKOWY

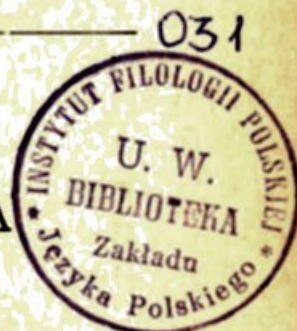
MIESIĘCZNIK  
 REDAKCJI SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO  
 (założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

PROF. DR ANTONINA OBRĘBSKA-JABŁOŃSKA

W czterdziestopięciolecie pracy naukowej

*W ubiegłym roku minęło czterdzieści pięć lat pracy naukowej Prof. dr Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej. Z okazji tak pięknego jubileuszu grono przyjaciół, kolegów i uczniów postanowiło poświęcić Jubilatce jeden z kolejnych tomów „Slavii Orientalis”. Uroczystość wręczenia tego tomu odbyła się w Zakładzie Słowianoznawstwa PAN w Warszawie w dniu 14 października 1968 r.*

*Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska urodziła się w miejscowości Pszczelna na Podolu. 8-klasowe gimnazjum humanistyczne kończyła w Warszawie. Tu też w 1919 roku rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego, skąd po dwóch latach mając już wyraźnie skryształizowane zainteresowania językoznawcze przeniosła się do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po skończeniu studiów uniwersyteckich i po otrzymaniu w 1925 roku stopnia doktora filozofii Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska pracowała jako asystent w Studium Słowiańskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Lata 1929—31 spędza jako stypendystka w Jugosławii. W 1934 roku przeprowadziła przewód habilitacyjny w Uniwersytecie Jagiellońskim w zakresie filologii słowiańskiej, po czym przeniosła się do Uniwersytetu Warszawskiego do Katedry Językoznawstwa Indoeuropejskiego. W latach 1937—38 przebywa w Anglii, Chinach i Stanach Zjednoczonych. Prawie przez cały okres okupacji mieszka Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska w Warszawie, biorąc udział w tajnym nauczaniu oraz pracując w Miejskim Urzędzie Statystycznym. Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych przystępuje do zajęć dydaktycznych w Uniwersytecie Warszawskim, stając się jednym z pierwszych organizatorów życia w odrodzonej uczelni. Po powrocie z Chin i Związku Radzieckiego, gdzie przebywała przez 1946 rok, otrzymuje w Uniwersytecie Warszawskim etat docenta filologii słowiańskiej. W dniu 25.IX.1954 roku Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki istniejąca przy ówczesnym Ministerstwie Szkół Wyższych przyznała Prof. dr Antoninie Obrębskiej-Jabłońskiej tytuł naukowy pro-*





fesora nadzwyczajnego, a osiem lat później (13.XII.1962 roku) Rada Państwa — tytuł profesora zwyczajnego.

Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska bierze wyjątkowo czynny udział w pracach organizacyjnych. Jest Ona organizatorem, założycielem i do dziś kierownikiem istniejącej w Uniwersytecie Warszawskim od 1956 roku Katedry Filologii Białoruskiej. Przez wiele lat brała udział w pracach Komisji Programowych MSW, opracowując programy studiów slawistycznych, rusycystycznych i białorusycystycznych. Jest członkiem Grupy Rzecznawców Filologii Słowiańskiej przy Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego oraz delegatem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego do Komitetu Słowianoznawstwa PAN w zakresie językoznawstwa. Od 1953 roku jest kierownikiem Sekcji Filologii Białoruskiej w Instytucie Polsko-Radzieckim, a po reorganizacji tej placówki w 1958 roku — kierownikiem Pracowni Filologii Białoruskiej Zakładu Słowianoznawstwa PAN w Warszawie. Od 1927 roku jest współpracownikiem Komisji Językowej PAU, członkiem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego oraz członkiem Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego. Bezpośrednio po ostatniej wojnie Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska została wybrana członkiem korespondentem Wydziału I Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a w 1963 roku — członkiem Białostockiego Towarzystwa Naukowego. Od kilkunastu lat Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska jest bardzo aktywnym członkiem Komitetu Językoznawstwa i Komitetu Słowianoznawstwa PAN. Obecnie w pierwszym z tych Komitetów pełni funkcję sekretarza, a w drugim — zastępcy przewodniczącego.

Lista prac naukowych Prof. dr Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej jest bardzo długa. Liczy ona przeszło 100 pozycji. W naszym przeglądzie ograniczymy się jedynie do prac polonistycznych. W tym zakresie na plan pierwszy wysuwają się dwie znakomite monografie: „*«Stryj», «wuj» i «swak» w dialektach i historii języka polskiego*” — Kraków 1929, PAU, s. 100 + 3 mapy oraz „*Studia nad słowiańskimi przysłówkami. I. Polskie «dopiero» i formacje pokrewne*” — Kraków 1934, PAU, s. 76 + 2 mapy. Obie prace, mimo iż zostały napisane przeszło 35 lat temu, zachowały w pełni swoją wartość naukową. Są one oparte na bogatym materiale zarówno historycznym, jak i gwarowym, wnioski zaś wynikające z interpretacji materiału przynoszą nowe oświetlenie ważnych dla historii języka polskiego zagadnień.

Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska jest autorką wielu rozpraw i artykułów poświęconych różnym zagadnieniom z zakresu historii i geografii języka polskiego. Wymieńmy niektóre z nich: „*Polskie γ rodzime*” — *Prace Filologiczne XIV*, s. 498—511; „*Technika spieszceń w dzisiejszej polszczyźnie*” — *Język Polski XIV*, s. 65—71; „*Niektóre wyrównania w dzisiejszej odmianie zaimków polskich*” — *Prace Filologiczne XIV*, cz II, s. 336—344; „*Tajemnicze «s» we «wszystek»*” — *Język Polski XVII*, s. 115—120; „*Próba etymologii niektórych polskich przysłówków*”



gwarowych" — *Slavia Occidentalis* XIII, s. 278—287; „Staropolski zaimek «wsztorunki», «wściornki»" — *Sprawozdania PAU XXXVII* (1932), s. 7—10; „Neologizmy gwarowe Reymonta" — *Język Polski XXI*, s. 54—55; „Uwagi językowe o książkach: Powieść o cierpliwym piechurze J. J. Wittlina" — *Język polski XXI*, s. 93—95; „Uwagi o systemie głosowym dialektu pekińskiego w świetle reprodukcji wyrazów polskich" — *Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego VII*, s. 44—62; „od archaizmu do nowej formy językowej" — przedruk w: „*Stylistyka teoretyczna w Polsce*", Warszawa 1946; „Kaszubskie «grajny» i «siennik»" — *Język Polski XXVII*, s. 108—112; „Liczebniki nieokreślone w systemie języka polskiego" — *Język Polski XXVIII*, s. 111—116; „Następstwa syntaktyczne zaniku form fleksyjnych" — *Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Językowej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego III*, s. 81—95; „Transpozycja imion własnych w polskich przekładach «Słowa o wyprawie Igora»" — *Język Polski XXXI*, s. 97—111; „Sprawa języka «Chłopów» Reymonta" — *Kuźnica* 211; „«Słowo o wyprawie Igora» w przekładach polskich" — *Pamiętnik Literacki XLIII*, s. 408—441; „Czy nieznane polskie nazwy miesięcy?" — *Slavia Occidentalis XX*, cz. II, s. 109—113; „Staropolskie «uganąć»" — *Studia Linguistica in honorem Thadaei Lehr-Splawińskiego*, Warszawa 1963, s. 397—402; „Uwagi o języku ośmiu pieśni polskich w rosyjskim śpiewniku końca XVIII" — *Slavia Orientalis XV*, z. 4, s. 429—434.

Przez cały okres swojej działalności naukowej Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska żywo interesuje się zagadnieniami kultury języka polskiego. Oto niektóre Jej artykuły z tego zakresu: „«Proszę pani» czy «proszę panią?»" — *Język polski XI*, s. 81—84; „Polonistyka i poeta" — *Język Polski XV*, s. 142—145; „Miejsca siedzące i stojące" — *Język Polski XVIII*, s. 185—187; „Mówmy śmieiej po polsku" — *Kobieta współczesna* 1933, nr 5; „Widzę pana starosty" — *Język Polski XX*, s. 8—10; „Przemysł a język i nauka" — *Język Polski XX*, s. 134—141; „Kinofikacja" — *Język Polski XXVI*, s. 42—46; „Strona dowodowa rodzimości zwrotu «jako pierwszy»" — *Język Polski XXVIII*, s. 180—182; „O żeńskich formach tytułów i nazw zawodowych" — *Poradnik Językowy* 1949, z. 4, s. 1—4; „Polskie okcydentalizmy «nieczytelny», «niejadalny»" — *Język Polski XXIX*, s. 76—77; „Pani doktor za granicą" — *Język Polski XXXI*, s. 180—182; „Norwidowska «namiejętność» regionalizmem" — *Sprawozdanie z Posiedzeń Komisji Językowej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego IV*, s. 105—114; „Jeszcze o łódzkich nekrologach" — *Język Polski XXXVIII*, s. 381—382; „Na manowcach odmiany nazwisk męskich na «-o»" — *Język Polski XXXVIII*, s. 379.

Wiele prac Prof. dr Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej dotyczy wzajemnych kontaktów językowych polsko-wschodniosłowiańskich, a zwłaszcza polsko-białoruskich. Z tego zakresu możemy wymienić „*Podręczny słownik polsko-białoruski*" — *Wiedza Powszechna*, Warszawa 1962, s.



XV + 1084 oraz pracę pt. „Nie zauważony rutenizm w «Worku Judaszowym» Klonowica” — *Prace Filologiczne XVIII*, cz. IV, s. 77—88. Spora też liczbę pozycji stanowią recenzje, sprawozdania, polemiki, artykuły okolicznościowe, nekrologi itp. Na specjalne podkreślenie zasługuje udział Prof. dr Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej w międzynarodowych kongresach, zjazdach i posiedzeniach naukowych w Polsce, Związku Radzieckim, Jugosławii, Bułgarii, Czechosłowacji i NRD.

Duże osiągnięcia ma Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska w zakresie prac edytorskich. Najważniejsze z nich to: Salomon Jaszucki: „Prace językoznawcze”. Redakcja, przypisy, przedmowa Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej. PWN, Warszawa 1953, s. 94; S. F. Klonowicz: „Worek Judaszowy”. W opracowaniu K. Budzyka i A. Obrębskiej-Jabłońskiej. Biblioteka Pisarzy Polskich, Seria B, nr 10, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1960; „Słowo o wyprawie Igora”, Wstęp, teksty, objaśnienia. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1954, s. 175 oraz dwa tomy „Ludu Białoruskiego” M. Fedorowskiego, PWN, Warszawa 1958 i 1960. Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska jest członkiem Komitetów Redakcyjnych trzech polskich czasopism językoznawczych, a mianowicie „Języka Polskiego”, „Slavii Orientalis” oraz „Studiów z Filologii Polskiej i Słowiańskiej”.

Całość dorobku naukowego, dydaktycznego, organizacyjnego i wydawniczego Prof. dr Antoniny Obrębskiej-Jabłońskiej jest imponująca. Nic też dziwnego, że Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska została odznaczona Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski, Medalem 10-lecia Polski Ludowej, Odznaką 1000-lecia Państwa Polskiego, Złotą Odznaką Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz otrzymała dwukrotnie nagrodę naukową Ministra Szkolnictwa Wyższego. Prof. dr Antonina Obrębska-Jabłońska jest dziś w pełni sił twórczych, prowadzi wiele prac własnych i zespołowych. W stosunkach z ludźmi cechuje ją zawsze rzeczowość, pogoda i życzliwość. Szczególną troską otacza młodych pracowników naukowych. Z okazji Jubileuszu życzymy Pani Profesor dalszych pięknych sukcesów naukowych oraz długiego i pogodnego życia.

Mieczysław Szymczak



Stanisław Rospond

## ZE STUDIÓW NAD POLSKIM NAZEWNICTWEM OSOBOWYM<sup>1</sup>

### 1. TRZECIESKI—TRZYCIESKI

Nazwisko Andrzeja *Trzecieskiego* — *Trzycieskiego*, humanisty-poety, działacza reformacyjnego, przyjaciela Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego, autora wielu łacińskich i nielicznych polskich utworów, jest bardzo zagadkowe. W dawniejszych podręcznikach historii literatury był *Trzycieskim*, natomiast w pomnikowej dwutomowej edycji<sup>2</sup> figuruje jako *Trzecieski*. Z pewnością ustalenie poprawnej formy zależy od objaśnienia pierwotnej postaci małopolskich nazw miejscowych: *Trzyciąż*, *Trzycież*, *Trzeciesz*, pow. olkuski; *Trzycierz*, pow. nowosądecki. Por. jeszcze na Śląsku Cieszyńskim *Trzyciesz*, czes. *Třitež*, niem. *Trzytiesch*<sup>3</sup>.

Andrzej *Trzecieski* był małopolaninem, o czym świadczy zarówno odmiejscowe pochodzenie jego nazwiska, jak i język (*weźry* «wejrzy»). Brak końcówki małopolskiej *-och* Mc. l.mn. oraz czasu przeszłego na *-ch* tłumaczyć należałoby ingerencją tych autorów lub edytorów, którzy pomieszczali rozproszoną jego twórczość literacką polską w różnych zbiorowych utworach (J. Seklucjan).

Nazwisko występowało w zasadniczej polskiej postaci *Trzecieski*, *Trzećieski*, *Trzecieski*, *Trećyeski*, rzadziej *Trzycieski* oraz w zlatynizo-

<sup>1</sup> Por. PorJ, nr 6 z br.

<sup>2</sup> Andrzej Trzecieski: „Dzieła wszystkie”, t. I = *Carmina. Wiersze łacińskie*, opr. J. Krókowski, Wrocław 1958, t. II = *Pisma polskie*, opr. S. Bąk, Wrocław 1961. „Biblioteka Pisarzy Polskich” Seria B nr 8, 9 = BPP (skrót).

<sup>3</sup> „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, Warszawa 1892, t. XII 580; T. Bystrzycki: „Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej”, Przemyśl br., s. 1757; „Spis miejscowości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, Warszawa 1967, s. 1172; „Urzędowe nazwy miejscowości i obiektów fizjograficznych” (wyd. do użytku służbowego „Komisji Ustalania Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych” przy Urzędzie Rady Ministrów, 1964 r., nr 9, s. 105); *Trzycierz*, *-rza*, las, pow. Nowy Sącz, s. 144 ts. oraz przym. *trzycieski*, ale *Trzycierski Las*; nr 11, s. 27 *Trzyciąż*, *-ża*, *trzyciąski*, pow. Olkusz; V. Davidek: „O názvech a jménech Těšínska”, Opava 1949, s. 47 *Střitež* (odsylacz do *Trzycież*). Co do tej śląskiej miejscowości por. H. Markgraf i J. Schulte: „Liber fundationis episcopatus Vratislaviensis”, Wrocław 1889, s. 112.



wanej najczęstszej *Tricesius* lub czasem *Trecesius*. Najbardziej miarodajne są autografy poety oraz korespondencja, zwłaszcza polska. W Warszawie 1573 r. spisał poeta deklarację opłaconej kwarty:

Ia Andrzej ThrzecyjeJkÿ zeznawam zem oddal...<sup>4</sup>

W kwitach dłużnych spisanych inną ręką, ale przez niego chyba dyktowanych, jest również forma *Trzecieski*, *Trzeciieski*. Z różnych dokumentów polskich a nawet łacińskich (w wypadku zakończenia pol. -ski, a nie zlatynizowanej postaci *Tricesius*) są najczęstsze postaci: *Andrzejá Trzecieskiego*, *pánu Trzecieskiemu*, *Andrzejá Trzeciesskiego*, *Treciesky*, *Trzeciieski*; por. też w odpowiednich dokumentach czeskich *Třecizskému*, *Třitežský*. W autografie Andrzeja Trzecieskiego, starszego (ojca) napisanym we Wrocławiu i stąd wysłanym w r. 1527 jest podpis *Andreas Trecesius*. Nierzadka jest ta postać *Trecesius* w dokumentach łacińskich; inną formą zlatynizowaną, stosowaną przede wszystkim w łacińskiej poezji Trzecieskiego (elegie, epigramaty, Carmina itp.) jest *Tricesius* (por. łac. *tricesimus* «trzydziesty»). Postać *Trzycieski* jest w kilku pieśniach polskich drukowanych w różnych drukach innych autorów; jest to być może forma przez nich zmodyfikowana pod wpływem dostojnego łacińskiego *Tricesius*.

W świetle tego całokształtu materiału i zwłaszcza niżej podanej etymologii nazwy miejscowej *Trzeczies*: *Trzeciech* n.os. należy uważać za pierwotną formę *Trzecieski*. Nieco odmienny jest pogląd S. Bąka<sup>5</sup> wydawcy pomnikowej edycji poloniców tego poety-uczonego, który przy komentarzu akrostychu TRZECIESKIEMV podał uwagę: „Ogólnie pisownia z *i*, *y* w polskiej i zlatynizowanej postaci zdaje się na przestrzeni XVI wieku przeważać”. Tak jest może tylko w materiałach drugiego tomu „Dzieł wszystkich” Andrzeja Trzecieskiego.

Warto jeszcze zacytować formy polskie i łacińskie w wierszach współczesnych przyjaciół o Trzecieskim: <sup>6</sup> Mikołaj Rej w „Zwierzyńcu” (1562 r.):

ANDRZEJ TRZECIESKI

Snadź ten nasz gdzieś Trzecieski tej szkoły záchwycił.

J. Kochanowski we „Fraszkiach” (1584 r.) pisał:

DO ANDRZEJA TRZECIESKIEGO

Ale tenże poeta w elegii łacińskiej podał formę *Tricesius*:

Concinit acceptos superis *Tricesius* hymnos

<sup>4</sup> Por. BPP nr 8, s. 248; cały materiał cytowany zebrano z BPP nr 8, s. 36 nn., 512—540, 708; BPP nr 9, s. 186—187, 193, 212—215, 248. Podobizna autografu z 1573 r. znajduje się w: T. Wierzbowski: „Materiały do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzy polskich”, Warszawa 1900, t. I, s. 178.

<sup>5</sup> Por. BPP nr 9, s. 77, przyp. 44.

<sup>6</sup> Tamże, nr 8, s. 540—546.



W „Tragedyi żebraczej” (1552 r.) w dedykacji (zdefektowanej) podano *Trzeciyeski*. Por. jeszcze u B. Paprockiego (1584 r. — „Herby rycerstwa polskiego”):

Był wieku mego Andrzej *Trzecieski* (secretarius) S.R.M. Człowiek nauki wielkiej,  
który był prawie ornamentum krolestwa tego...

S. Klonowic („Żale nagrobne na Jana Kochanowskiego”, 1585 r.):

Plącze w Krákwie *Trzecieski* Andrzej stárodawny Poetá z ojcá sławny.

Tejże formy *Trzecieski* użył Achacy Kmita („Morocozmea Babińskie” 1617). W. Węgiński („Kronika zboru ewangelickiego” 1651 r.) zaznaczył:

Ojciec Andrzeja *Trzecieskiego* *Tricesius* po łacinie się pisał.

Pochodzenie rodu *Trzecieskich* łączy Szymon Starowolski (1627 r.) z miejscowością powiatu sądeckiego<sup>7</sup>. Jeżeli zatem formy *Trzycieski* użył anonimowy autor: „*Proteusa abo odmieńca*” z 1564 r., to czy nie chodzi w tym wypadku i innym o nieścisły przedruk z 1890 r. Wydawca materiałów do reformacji w Małopolsce J. Łukaszewicz („*Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małej Polsce*”, Poznań 1853) też nie był ścisły w przedrukach i może dlatego podał formę *Trzycieski*<sup>8</sup>.

Nazwiska odmiejscowe na *-ski*, bardzo modne były w XVI w. wśród szlachty, bywały uważane za „noblne”, chociaż w rzeczywistości na terenach północnej Polski (Wielkopolska, Pomorze, Mazowsze) nazwiska te były znane we wszystkich warstwach społecznych: *Zabrocki* : *Zabrodzie*, *Zabłocki* : *Zabłocie*, *Zaleski* : *Zalesie*<sup>9</sup>.

Nazwę miejscową *Trzyciąż*, pow. olkuskiego już L. Malinowski<sup>10</sup> pojął jako pierwotne *Trzeciesz* : *Trzeciech* n.os. Nie umiał jednak objaśnić nazwy osobowej *Trzeciech*. Dopiero jednak F. Nieckula<sup>11</sup> jako autor cennej rozprawy o staropolskich nazwach dzierżawczych na *-jś* oraz artykułu o tej nazwie miejscowej udowodnił pierwotną postać toponimu *Trzeciesz*, który usiłował wnikliwie i wszechstronnie zetymologizować. W rezultacie tych rozważań metodologicznie zupełnie poprawnych opowiedział się za imieniem *Trzeciech* lub *Trzeciesław*, które w pierwszym członie zawiera liczebnik. Dopuścił również formację *Trzeciech* : *trze-ć*. Nie ulega wątpliwości, że te rozważania F. Nieckuli, tj. rekonstrukcja toponimu *Trzeciesz* od imienia *Trzeciech* wyprowadziły dotychczasowe „pseudoetymologie”, czy wprost etymologie ludowe na tory ścisłej etymologii onomastycznej.

<sup>7</sup> Tamże, s. 545.

<sup>8</sup> Tamże, s. 524.

<sup>9</sup> S. Rospond: „O nazwiskach na *-ski*”, *PorJ* 1966, nr 1, s. 1 nn.

<sup>10</sup> L. Malinowski: „*Studia nad etymologią ludową*”, *PF* I, 1885, s. 288.

<sup>11</sup> F. Nieckula: *Trzyciąż, Trzycieź, Strzeszech*, „*Rozprawy Komisji Językowej*”, Wrocław Tow. Nauk. VI, 1966, s. 323—332; tenże, *Polskie nazwy miejscowe z sufiksem -jś*, tamże V, 1965, s. 100 *Dobrociesz*, pow. Brzesko.



Moje uwagi dotyczą odmiennej etymologii imienia *Trzeciech*, którą F. Nieckula zasygnalizował w przypisie swojego artykułu<sup>12</sup>.

Proponowaną przez siebie etymologię opieram na analizie struktury imienia *Trzeciech* oraz na analizie mikrofilologicznej i nawet paleograficznej nazwy miejscowej *Trzeciesz*. Skoro ani W. Taszycki<sup>13</sup>, ani J. Svoboda<sup>14</sup> nie notują struktury imiennej liczebnik + nomen, gdyż jednostkowy przykład ros. *Osmomysl* może być rezultatem wpływu obcego (por. ta struktura liczebnik + nomen w indoirańskim; również u ludów ugrofińskich liczebnikowe określenia imienne są znane), w takim razie wprawdzie teoretycznie *Trzeciech* może zawierać liczebnik stpol. *trzē* → *trzej*, należy jednak szukać innego wyjaśnienia tego imienia, mającego zupełnie wyrazisty człon drugi *-ciech*: pol. *Uciech*, *Będzieciech*, *Bożeciech*, *Wojciech* itp. Pol. *Siedmiradz* jest pierwotnym *Siemiradz* ← \**Sēmīrad-j* (por. zapisy dopiero z XVI w. *Szyedmyradz*).

Niezwykle produktywną strukturą imienną złożoną, odziedziczoną z epoki pie. był schemat: *indeclinabile* (prepozycja) + *nomen*:<sup>15</sup> pol. *Przebor*, sanskr. *Pari-śruta* «bardzo sławny», grec. *περικλής* *ts.*, prus. *Per-gaude* — por. ps. \**per-*, grec. *Περί* «nad, bardzo», sanskr. *pāri*, lit. *per*. Z tego materiału wynika, że prepozycyjny człon spełniał w epoce pie. funkcję nazywającą, w tym wypadku intensyfikującą człon drugi («bardzo», «nad»). Prepozycje były różne: *pre-*, *pod-*, *nad-*, *u-*, *do-* itp. Niektóre z nich były mało produktywne (*Wzguł*: *vъz-*; Taszycki wymienia nawet, ale tylko w indeksie *Wzciech*)<sup>16</sup>. Niektóre wreszcie, mniej wyraziste fonologicznie i morfologicznie, zaginęły bezpowrotnie lub trzeba je rekonstruować dopiero z nazewnictwa. W nazewnictwie bowiem miejscowym i osobowym kryją się relikty zarówno morfologiczne, jak i leksykalne.

Była ps. prepozycja *čersъ* «przez, nawskrós», która ze względów fonetycznych mogła przetrwać nienaruszona w grupie wschodnio- i południowosłowiańskiej: cerk. *črěsъ* albo *črězъ*, ros. *čerez*, schorw. *črez*, ale w językach zachodniosłowiańskich zachował się dobrze jedynie apofoniczny wariant pie. \**kers-* // \**kors-* (por. grec. *en-karsios* «krzywy, ukośny», lit. *skeřsas* «w poprzek», stprus. *kerscha* «ts.»), pol. *nawskrós*, czes. *skroz*<sup>17</sup>.

W językach zachodniosłowiańskich (polski i czeski) kontynuacja *čře-* = *řše* (wcześniej *řšř*) nie miała szans utrzymania się, gdyż w ogóle

<sup>12</sup> F. Nieckula, op. cit. (*Trzyciąż...*), s. 331, przyp. 34.

<sup>13</sup> W. Taszycki: „Najdawniejsze polskie imiona osobowe”, Kraków 1926.

<sup>14</sup> J. Svoboda: „Staročeská osobní jména a naše příjmení”, Praha 1964.

<sup>15</sup> T. Milewski: „Ewolucja morfologiczna indoeuropejskich złożonych imion osobowych”. BPTJ XVI, 1957, s. 43.

<sup>16</sup> W. Taszycki, op. cit., s. 69.

<sup>17</sup> E. Berneker: „Slavisches etymologisches Wörterbuch”, Heidelberg 1908—1913, t. I, s. 148—149; A. Brückner: „Słownik etymologiczny języka polskiego”, t. II, Kraków 1927, s. 496—497.



grupa *czrze-* wymieniła się w języku staropolskim na *trze-*, por. *czrzo-* *da* → *trzo-*, *czrześnia* → *trześnia*, *czrzewo* → *trzewo* itp. Obok tej wymiany *čš* na *tš* są formy świadczące o jej rozszerzeniu na: *tš* // *stš* : *trzewiki* — *strzewiki*, *trzewia* — stpol. *strzewce*, *trzcina* — kaszub. *strzecyna*, *trzymielina* — gwar. *strzymielina*<sup>18</sup>. Identyczna alternacja grupy spółgłoskowej *trz-* // *strz-* zachodziła w nazewnictwie: *Trzemesznia* — *Strzemesznia*, *Trzeszyce* — *Strzeszyce*<sup>19</sup>. Podobny proces zaobserwować można w języku i nazewnictwie czeskim: *Střítež* (18 razy) ← *Trīetež* ← *Čřīetež* : ps. *čertъ* «Schilfrohr», rus. *očeretъ* «ts.», schorw. gwar. *čret* «Sumpfwald»<sup>20</sup>.

W językach zachodniosłowiańskich, głównie lechickich, są ślady nazewnicze tej prepozycji ps. *čersъ*, też potem *čerzъ*. Należy tu bez wątpienia nazwa etniczna u Luciców *Czrzezpianianie* : *Pěnia* n.rz. lub *Pěna* → → *Piana*, niem. *Peene* (dok. *Circipani*, *Zirzipani*, *Zerezepani*, *Zerezpani*, *Chircepene*, *Scircepene*, *Cirpania*)<sup>21</sup>. Grupa *czrze-* sprawiła nielada trudności skryptorowi, zwłaszcza niemieckiemu, nie mającemu w swoim systemie fonologicznym ani afrykaty *č*, ani dźwięku *ř*, zwłaszcza w takim niezwykłym układzie fonetycznym. Afrykata *č* jest jednak widoczna w tych przeróżnych substytucyjnych zapisach w znakowaniu *ch* = *č*, *sc* = *č*, *c* = *č*, *cz* = *č* (przez pomieszania *c* i *č*, również *z* = *č*).

Z Pomorza Zachodniego wynotowano imiona *Czrzezbor* (*Cyrizebor* 1224 r.) i *Czrzezmierz*<sup>22</sup> (*Circimerus* 1221). Pierwszy człon tych imion w postaci *Crzez-* przesądza ich etymologię w postaci pierwotnego *czrzez* ← ← ps. *čerzъ*. W tym wypadku wykluczona jest interpretacja liczebnikowa *trze-*. S. Kozierowski wynotował imiona *Trze/sław/* 1392 r. oraz *Strze/bor/* 1400 r. Skrócone imię *Trzesz* (por. *Trzeszycze* XV w. wg „*Liber beneficiorum*” J. Długosza, dziś *Strzeszyce*, pow. Limanowa) jest również śladem złożenia z pierwszym członem *Czrze-* (*-ciech*, *-sław*, *-bor*, *-mierz* itp.). Wymiana pierwotnej grupy spółgłoskowej *czrze-* na *trze-* // *strze-* utrudnia rozstrzygnięcie, z braku oryginalnego materiału, czy mamy do czynienia z członem *strzeży-* (skróconym na *Strzesz*), czy z *Czrze-*. Jedyne drobiazgowa analiza filologiczna umożliwia również w wypadku imienia *Trzeciech* ustalenie pierwotnego członu pierwszego *Czrze-*.

Mamy niewątpliwie przykłady pierwotnej grupy *Czrze-* w nazwach miejscowych *Trzemeszno*, pow. Mogilno (znany i dawny klasztor benedyktyński), *Trzemeszna*: ps. *čermъcha* «prunus padus». Zanim *czrze-* wymieniło się na *trze-* notowano nagłosowe *č* przez *ch*, *c* lub *sc*: *Sciremusinę*

<sup>18</sup> J. Łoś: „Gramatyka polska”, cz. I — *Głosownia historyczna*, Lwów 1922, s. 191.

<sup>19</sup> F. Nieckula, op. cit., s. 329.

<sup>20</sup> A. Profons: „Místní jména v Čechách, jejich vznik, původní význam a změny”, Praha 1957, t. IV, s. 206—208.

<sup>21</sup> „Słownik starożytności słowiańskich”, Wrocław 1961—1962, t. I, s. 306; M. Rudnicki: *Prasłowiańszczyzna—Lechia—Polska*, Poznań 1961, t. II, s. 220.

<sup>22</sup> M. Rudnicki: „Imiona osobowe z Pomorza Zachodniego”, *Slavia Occidentalis* XVI, 1937, s. 75—76.



(2 razy) oryginał z 1146 r. spisany piękną włoską minuskułą; *Cheremesense* 1145 r. (XIII w.), *Cremocensis* 1147 r. oryg. = *Trzemeszno*. Por. jeszcze *Ceremesna* 1270 r. (nieznana góra w pow. Kolbuszowa); *in Crzemessna* 1364 r., ale *Trzemschna* 1447 r. = *Trzemeśnia*, pow. Myślenice<sup>23</sup>. Dwuznak *ch* pochodzenia romańskiego już w bulli 1136 r. jest najnormalniejszym oznaczniakiem *č*: *Bichek* = *Byczek*, *Clobuchec* = *Kłobuczek*; również dwuznak *sc* (prawdopodobnie proveniencji romańskiej, włoskiej) oznaczał *č*: 1136 r. *Scaple* = *Czaple*, 1153 r. oryg. *Kasckov* = *Kaczków*<sup>24</sup>.

Otóż dla miejscowości *Trzeciesz*, dziś *Trzyciąż*, pow. olkuski oraz *Trzycierz*, pow. sądecki są zapisy: *de Cheretem* et circa *Cheretem* 1229 r. (kopia dokumentu papieskiego); *de Sczczeszze* 1383 r. oryg. (dokument kasztelana sądeckiego). Wprawdzie zapis pierwszy w stereotypowym zakończeniu latynizacyjnym *-em* (*-um*, *-em*, *-am* końcówki B l.p.) jest nieco zniekształcony, ale podstawowe *Czrzet-* = *Cheret-* zostało zwyczajem ówczesnym poprawnie zapisane. Por. *che* = *č* w bulli 1136 r. *Bariche* = *Barycz* n.rz., *Conecheno* = *Konieczno* n.m., *Louiche* = *Łowicz*. (Por. 1155 r. *Chiresne*, 1254 r. *Chresne* = *Czrześnia*, dziś *Trzeźnie*, pow. Strzeżyn: ps. \**čerš-ъnja*).

Również zapis *Sczczeszze* należy transkrybować *Czrzeciesz*, gdyż *sc* = *č*. Żadną miarą *ch* nie mogło oznaczać *t*! Z tych też względów zagadkowy zapis „*Dagome iudex*” z X/XI w. SCHINESGHE wyjaśniam jako *Szczytno* «*Szczecin*» + *Gniezno*<sup>25</sup>. W innych kopiach, z pewnością pochodzących z XV w. jest już nowsza grupa *trze-*: 1228 r. *Trzeciesch* (por. trójznak *sch* = *š*), *Threthes* 1275 r., inter *treces* 1324 r., *de Trzecieza* 1378 r., *Trzeciysz* z *Długosza*, *Trzeciysz* — tamże, *Trzicies* 1581 r. J. *Długosz* wyraźnie zaznaczył odmiejscowe pochodzenie nazwiska *Trzecieski*: *Trzczesz...* cuius haeres St. *Trzczeszky*. Sądecki ród *Trzecieskich* w XVIII w. zapisano z *Trzeciesza Trzecieskich*<sup>26</sup>.

Dokument pergaminowy z 1228 r. (por. „*Fotografie Gabinetu Nauk Pomocniczych Historii UJ*” nr 60(I) notuje imię *Streceh*, które *Taszycki*<sup>27</sup> odczytuje jako *Strzeszech* (?), natomiast *Nieckula*<sup>28</sup> przyjął poprawnie *Strzeciech*, co już zresztą podał J. *Baudouin de Courtenay*<sup>29</sup>. A zatem

<sup>23</sup> H. Borek: „Zachodniosłowiańskie nazwy toponimiczne z formantem *-ъn-*”, Wrocław 1968, s. 38—39.

<sup>24</sup> S. Rospond: „Dawność mazurzenia w świetle grafiki staropolskiej”, Wrocław 1957, s. 63, 70, 71.

<sup>25</sup> S. Rospond: „Pierwotna nazwa Szczecina a północno-zachodnia granica Polski Piastowskiej”, *Slavia Occidentalis* XVIII, 1947, s. 291 nn.; tenże: „Schinesghe w «Dagome iudex»”, *Studia Linguistica Slavica Baltica Canuto-Olavo Falk*, Lundae 1966, s. 227 nn.

<sup>26</sup> F. Nieckula, op. cit., s. 326.

<sup>27</sup> W. Taszycki, op. cit., s. 98.

<sup>28</sup> F. Nieckula, op. cit., s. 329.

<sup>29</sup> J. Baudouin de Courtenay: „O drevne-poľskom jazykě do XIV stolětija”, Lipsk 1870, s. 77.



*Strzeciech* zastąpiło dawniejsze *Trzeciech* ← *Czrzeciech* (por. *trzewik-strzewik*). A może poprawna lekcja paleograficzna byłaby *Screceh*, przecież paleograficznie biorąc t—c były przy niektórym zwłaszcza dukcie skryptoryjnym trudne do wyróżnienia. Taszycki wahał się w odczytaniu *Streteh*—*Streceh* (?). A zatem również pierwsze t może jest c! Zapis *Screceh* oznaczałby *Czrzeciecha* ze względu na sc = č!

Zagadkowe i kontrowersyjne etymologicznie nazwy miejscowe i osobowe jeszcze niejednokrotnie ujawnią reliktowe, archetypowe formacje. Do takich należy stpol. imię *Czrzeciech* ← \*Čers/ь/těchъ, które było podstawą nazw miejscowych dzierżawczych *Trzeciesz* ← \*Czrzeciech-ju. Niezwykłość formacji z pierwszym członem prepozycyjnym *Czrze-* odpadnie z chwilą zwrócenia uwagi na produktywną strukturę imienną staropolską i ogólnosłowiańską typu indeclinabile (praepositio) + nomen: *Ogost*, *Omysł*, *Oslav*, *Utěch*, *Izbor*, *Zbąd*, *Zbor*, *Sąbor* itp. Przez skrzyżowanie tej struktury imiennej z równie archaiczną pierwiastek + nomen (*Czasław*, rus. *Javid*, *Javolod*) powstały formacje (indeclinabile + pierwiastek) + nomen: pol. *Otjęsław*, *Pojęgorod*, rus. *Izjaslav*.

Wtórne adideacyjne postaci miejscowości *Trzeciesz*, tj. *Trzyciąż*, *Trzycierz*, *Trzecież* poprawnie zinterpretował F. Nieckula. Prawdopodobnie niejedna z licznych (18) czeskich *Střitežy*<sup>30</sup> byłaby paralelną formacją do pol. *Czrzeciesz* — *Trzeciesz*, tj. *Strzietess* 1379 r., *Strzyetez* 1390 r., *Trzietez* 1392 r. (dial. *Třiteř*, *Střiteř*, *Střitež*) = *Čřeteš* → *Třeteš* → *Třetež* itp. Adideacyjne zmiany wygłosowego š na ž (też ř) oraz nagłosowego čř → tř // stř przebiegały podobnie w obu sąsiednich językach. Niektóre czeskie nazwy — niezależnie od tej etymologii — mogły pochodzić od *Čřetež*: ps. \*čertъ «sitowie».

<sup>30</sup> A. Profous, l.c.



*Franciszek Lyra*

## O POLSZCZYŹNIE AMERYKANÓW POLSKIEGO POCHODZENIA

Artykuł stanowi próbę ujęcia podstawowych a zarazem ogólnych tendencji językowych w polszczyźnie używanej w Stanach Zjednoczonych. Autor oparł się w nim na własnych badaniach przeprowadzonych wśród Amerykanów polskiego pochodzenia różnych pokoleń.

Witold Doroszewski w książce „Język polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej” wydanej w roku 1938 pisał: „Prób naukowego ujmowania zagadnień, które nasuwa kwestia języka polskiego w Ameryce, to znaczy prób celowego zgromadzenia materiału naukowego, opracowania najbardziej skutecznych metod dydaktycznych, nie mówiąc o próbach ściśle lingwistycznych, dotąd nie było”. Stwierdzenie W. Doroszewskiego dopiero teraz zaczyna w pewnym stopniu tracić na aktualności, choć opracowań naukowych problemu języka polskiego w Ameryce przysłowiowo doliczyć się można na palcach jednej ręki. Poza pracą prof. Doroszewskiego istnieją zaledwie trzy inne rozprawy poświęcone temu zagadnieniu. Są nimi prace Franciszka Lyry: „English and Polish in contact” (rozprawa doktorska, Indiana University 1962), Włodzimierza A. Skłodowskiego: „O niektórych faktach fonetycznych języka polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w związku z czynnikami kształtującymi język emigracyjny” (rozprawa doktorska, Ottawa 1951) i Romana Witowskiego: „Phonetic Variations in the Pronunciation of Polish Soft Consonants by a First Generation High School Group” (praca magisterska, Uniwersytet De Paul, Chicago 1949).

Nie należy się dziwić temu stanowi rzeczy, bowiem językoznawców z reguły nie interesował sam proces zmian językowych.

„Pomijając nieliczne wyjątki, językoznawcy zajmowali się głównie wytworem językowym mieszania narodów i związanej z tym zmiany języka. Poddawali badaniu i analizie język zwycięski. Wykrywano wprawdzie elementy, które język zwycięski przejął z języka zwyciężonego, ale sam proces walki językowej badany był rzadko”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> K. H. Schönfelder: „Probleme der Völker und Sprachmischung” (Zagadnienia mieszania się narodów i języków); Halle 1956.



Procesy zachodzące w polszczyźnie w Stanach Zjednoczonych są rezultatem kontaktu języka polskiego i angielskiego w jego amerykańskiej odmianie<sup>2</sup>. Sformułowanie pojęcia kontaktu językowego niektórzy językoznawcy przypisują Andre Martinetowi. Pisze E. Haugen: „Każdy językoznawca wcześniej czy później styka się z zagadnieniami, których geneza tkwi we wzajemnych kontaktach języków. Termin „kontakt języków” jest udanym określeniem A. Martineta spopularyzowanym przez U. Weinreicha<sup>3</sup>. Jednak już W. von Humboldtowi nieobce było to pojęcie<sup>4</sup>. Znał je również G. Schmidt-Rohr, który zauważył: „Kontakty języków są dziś zjawiskiem powszechnym”<sup>5</sup> i Sturtevant, operujący nim w swojej książce „Linguistic Change” (Zmiany językowe).

Teoretycznie biorąc, wszystkie języki świata mogą wejść w kontakt ze sobą. Przy obecnym stanie wiedzy i metodach badań językoznawczych możliwe wydaje się ustalenie hierarchii języków pod względem ich wzajemnych kontaktów. Angielski prawdopodobnie zająłby najwyższy szczebel tej drabiny.

Do kontaktu języka polskiego i angielskiego dochodzi zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych. W niniejszym artykule interesuje nas kontakt obu tych języków na terenie Ameryki. Kontakt dwóch (lub więcej) języków ma miejsce wówczas, gdy dwie osoby mówiące różnymi językami pragną się ze sobą porozumieć. Aby mogło dojść do porozumienia, jedna osoba pozostaje monoglotą a druga poliglotą albo obie osoby stają się poliglotami. Sytuacja rozważana teoretycznie odpowiada rzeczywistości językowej Stanów Zjednoczonych, gdzie imigranci (ewentualnie ich potomkowie) pod naciskiem amerykańskiego monolingwistycznego otoczenia skazani są na dwujęzyczność, która jest stanem przejściowym, i której trwanie zależy od działania czynników pozajęzykowych. Kontakt dwóch języków zazwyczaj prowadzi do zjawiska językowego zwanego „mieszaniem”. Jest to jeden z procesów, który doprowadził do powstania tzw. popularnie języka polsko-amerykańskiego, o którym pisał już Sienkiewicz w „Listach z podróży do Ameryki”: „Pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny polsko-amerykański język (...)”.

Dwujęzyczność w Stanach Zjednoczonych jest warunkiem osiągnięcia politycznej, społecznej i kulturalnej integracji wszystkich grup etnicznych. Warunek ten siłą rzeczy jest jednostronny: tylko od imigrantów wymaga się opanowania drugiego języka, tj. angielskiego. Amerykanom

<sup>2</sup> W dalszym ciągu tekstu skrót am. oznaczać będzie język angielski w jego amerykańskiej postaci.

<sup>3</sup> „Proceedings of the Eighth International Congress of Linguists”; Oslo University Press, 1967, s. 771.

<sup>4</sup> „Über die Verschiedenheit des Menschlichen Sprachbaues und Ihrem Einfluss auf die Geistige Entwicklung des Menschengeschlechts”; Berlin 1836. Faksimile Druck 1960.

<sup>5</sup> G. Schmidt-Rohr: „Die Sprache als Bildnerin der Völker”; Eugen Diederich Verlag. Jena 1932, s. 182.



niepotrzebna jest dwujęzyczność. Opanowanie drugiego języka lub paru obcych języków w równym stopniu co ojczystego jest zjawiskiem rzadkim. Przeto słuszne jest wprowadzenie pojęcia języka podstawowego (primary language) i wtórnego (secondary language) przy ocenie funkcji i stopnia znajomości języków poliglotów<sup>6</sup>. W przypadku Amerykanów polskiego pochodzenia polski jest językiem podstawowym dla stosunkowo niewielkiej grupy osób, dla większości jest on językiem wtórnym, ale nie obcym w znaczeniu, w jakim np. dla Polaków obcy jest angielski. Dwujęzyczność Amerykanów polskiego pochodzenia jest koniecznością życiową. Dla jednych konieczność ta trwa dopóty, dopóki nie opanują całkowicie angielskiego, dla drugich wraz z ich potomkami, których zasadniczym językiem jest angielski, dwujęzyczność jest wynikiem świadomego dążenia do podtrzymania mowy polskiej. Zachowanie języka polskiego przez Amerykanów polskiego pochodzenia trudno byłoby określić jako ich zasługę czy osiągnięcie, gdyż nie tyle oni sami, ile otoczenie decyduje o ich umiejętnościach językowych. Ankiетowe badania przeprowadzone przez autora wykazały względnie długą żywotność języka polskiego w Stanach Zjednoczonych. Większość imigrantów polskich pierwszego pokolenia, tj. ci, którzy nie urodzili się w Stanach Zjednoczonych, nie włada językiem angielskim w takim samym stopniu co rodowici Amerykanie. Dążąc do opanowania nowego języka zapominają mowy ojczystej. Zarówno ich angielski, jak polski wykazują odchylenia od norm obu języków.

Odchyłeń od polskich norm językowych, mających miejsce w warunkach kontaktu am. i polszczyzny nie należy utożsamiać z błędami, jakie popełniają monogłoci w społeczeństwie jednolitym językowo. Te odchylenia w Ameryce są objawem nowych zwyczajów i nawyków językowych. Bywają jednak przypadki wątpliwe, których definitywnie nie można zaliczyć ani do jednego, ani do drugiego typu odchyłeń od norm językowych.

Z jednej strony zachodzi proces oddziaływania am. na język polski; by zapobiec temu wpływowi, poliglota musi przestrzegać normy każdego z dwóch języków. Mało jest jednak poliglotów, którzy by dokonali tego intelektualnego wysiłku. Wysoki stopień lojalności Amerykanów polskiego pochodzenia wobec mowy ich przodków przejawia się raczej teoretycznie niż faktycznie. Nie potrafią bowiem zapobiec wpływom am., ponieważ pozbawieni są dostatecznie silnych bodźców zarówno językowych, jak i pozajęzykowych. Wpływ am. na mowę polskich emigrantów nie jest wynikiem ich niższego poziomu kulturalnego czy intelektualnego, ale wypływa z ich społecznej, ekonomicznej i politycznej sytuacji. Oczywiście nie wszystkie odmiany języka dotknięte są tym procesem w równym stopniu. Heterogeniczność etnograficzna niektórych gęsto zaludnionych

<sup>6</sup> M. Braun: „Beobachtungen zur Frage der Mehrsprachigkeit”; Göttingische Gelehrte Anzeigen, Jahrgang 199, 1937, s. 118.



ośrodków polonijnych takich jak Chicago, Buffalo, New York itd. przyczynia się do zacierania cech gwarowych wyniesionych z kraju. Amerykanie polskiego pochodzenia drugiego pokolenia i starsi, którzy w dzieciństwie posługiwali się gwarą polską, a którzy w późniejszych latach wystawieni byli na wpływ am. i języka literackiego np. w szkole, mocniej ulegają wpływowi obcemu wówczas, gdy starają się mówić językiem literackim niż wtedy, gdy mówią swą pierwotną gwarą. Wzajemny wpływ obu języków daje się zauważyć zwłaszcza na poziomie fonologicznym, tzn. wielu Amerykanów polskiego pochodzenia posługując się angielskim zdradza wpływ języka polskiego, posługując się zaś polskim wykazuje wpływ am. Większość ma „mniej niż dwa, ale więcej niż jeden system fonologiczny”<sup>7</sup>.

Normy języka polskiego ulegają rozchwianiu. W systemie fonologicznym przejawia się to jako niekonsekwentna wymowa tych czy innych głosek. Ten czynnik m.in. przyczynia się do szczególnego działania procesu asymilacji zarówno postępowej, jak i wstecznej, np. zamiast *przez, marzec, sąsiad* — można posłyszeć *przesz, marzecz, sząszad*. Swoiste traktowanie nowych fonemów pociąga za sobą powstawanie nowych homonimów, zwłaszcza w zakresie wyrazów zawierających samogłoski nosowe i spółgłoski palatalne.

Te same procesy, tj. wpływ am. i słabnąca więź z językiem literackim, tłumaczą zmiany na poziomie morfologiczno-syntaktycznym. Wpływ angielskiego na polski system gramatyczny wyraża się, najogólniej biorąc, przez działanie analogii przede wszystkim w zakresie konstrukcji przyimkowych. Najbardziej dotknięty tym procesem jest celownik, w mniejszym stopniu dopełniacz. Charakterystycznym zjawiskiem w polszczyźnie amerykańskiej jest wpływ angielskiego szyku wyrazów na budowę zdań polskich<sup>8</sup>.

Oddziaływanie języka angielskiego na polski system gramatyczny tylko częściowo wyjaśnia odchylenia od normy. Źródłem licznych odchyżeń na gruncie amerykańskim jest bogactwo polskich form derywacyjnych i fleksyjnych. Z powodu osłabienia więzi z językiem polskim w am. zacierają się różnice między funkcjami poszczególnych morfemów gramatycznych. Dotyczy to zwłaszcza sufiksów. W ten sposób odsłania się atrakcyjność jednych a nieżywotność innych form. W l. mn. na przykład morfem *-ów* niewątpliwie wykazuje największą żywotność spowodowaną przewagą rodzaju osobowego nad rzeczowym. To ogranicza dystrybucję morfemów *-i* oraz *-o*. Procesowi temu towarzyszy tendencja do różnicowania form, które w języku polskim brzmią homofonicznie, w tym przypadku chodzi o tendencję do morfonematycznego rozróżniania mianownika, biernika i dopełniacza rodzaju rzeczowego.

<sup>7</sup> U. Wenreich: „Linguistic Convergence in Immigrant America”; X Georgetown University Monograph Series in Language and Linguistics, nr 7 — 1954.

<sup>8</sup> Por. W. Doroszewski, op. cit. ss. 184—187, 192.



Im większy jest zasięg funkcji jakiegoś gramatycznego morfemu, tym bardziej zmniejsza się prawdopodobieństwo jego niewłaściwego użycia.

Procesy międzyjęzykowe i wewnątrzjęzykowe działają również w zakresie słownictwa. W am. występuje wiele rdzennie polskich słów, których użycie razi rodowitego Polaka, ponieważ zastosowane są w niewłaściwym kontekście lub w innym znaczeniu. Sięganie do materiału słownikowego języka polskiego dla wyrażenia otaczających zjawisk i rzeczy interpretować można jako żywotność tego języka. Niektórzy poligłoci zasadniczo nie używają słów zapożyczonych z am. (przynajmniej w zakresie słownictwa), ale brak kontaktu z polskim językiem literackim doprowadził i tu do odchyień. Tak więc posługiwanie się słownictwem w sposób niezgodny z normą języka polskiego nie jest wyłącznie rezultatem kontaktu dwóch systemów językowych (pisał o tym W. Doroszewski). Z drugiej strony imigranci oderwani od geograficznego, etniczno-kulturalnego tła znaleźli się w nowym środowisku, które wymaga przystosowania językowego. Nie mając własnych nazw na określenie rzeczy i zjawisk poznawanych w nowym otoczeniu, przybysze ze „starego kraju” przejmują wyrazy am. Niepodobna nie ulec temu procesowi. Poddawali mu się również J. U. Niemcewicz i H. Sienkiewicz. Liczne zapożyczenia w ich książkach o Ameryce nie są jedynie stylistycznymi upiększeniami.

Naleciałości leksykalne niekoniecznie wynikają z ubóstwa języka zapożyczającego. Prestiż nie ma w am. żadnego znaczenia. Natomiast powszechne jest zjawisko zapożyczeń wskutek zapomnienia czy też intelektualnego lenistwa. Czynniki kulturalny także nie odgrywa decydującej roli. Nie ma racji Sienkiewicz pisząc, że potoczne wyrazy języka polsko-amerykańskiego są polskie, wszystkie inne angielskie.

Przyczyną zapożyczeń może być również inny motyw, mianowicie potrzeba synonimów, zwłaszcza w zakresie tzw. zakazanego słownictwa, a więc przede wszystkim przekleństw. Motyw ten u niektórych osób wywołany jest pobudkami religijnymi. Jeden z teksaskich rozmówców autora wprost oświadczył: „przeklinam po angielsku, bo to nie je grzech”.

Oslabione działanie polskiego języka literackiego przyczynia się do mniej lub bardziej zwiększonej aktywności procesu kojarzenia, uzupełnianego i wspieranego przez — z jednej strony — analogię, z drugiej — zapomnienie. „We wszystkich językach istnieją dziedziny skojarzeń marginesowych”<sup>9</sup>, u wielu Amerykanów polskiego pochodzenia margines kojarzenia rozszerza się, niekiedy zbliża się do języka dziecka. Proces kojarzenia najbardziej uderza w zakresie fonetycznych form językowych. Przykłady: *sędzia sędzi, w pustej głowej, ciotki i wujki, stoły i krzesły, w domu czy w sklepu, sierpień, lipień* itd. Jedna z informaterek zapytana: „jaka jest pani ulubiona potrawa?” wybuchnęła śmiechem, powtarzając pytanie w formie, w jakiej je zrozumiała, po angielsku: „You mean what

<sup>9</sup> E. Sapir: „Language” 1949, s. 37.



my favorite grass is?". Słowo *potrawa* skojarzyło jej się z *trawą*.

Przykładem procesu analogii może być utworzenie przez informatorów formy „krajobójstwo” wzorowanej na „królobójstwie”. Im słabiej tkwią w pamięci poszczególne wyrazy i formy, tym mniejsze opory napotyka tworzenie neologizmów, tym szerszy jest zakres tej tendencji<sup>10</sup>. Procesowi zapominania przeciwdziałać mogą bodźce zarówno językowe, jak i pozajęzykowe. Wiadomo, że osoby, które zapomniały jakiegoś słowa w pierwotnym języku, przypominają je sobie pod wpływem nagłego bólu, irytacji, czy innych przeżyć emocjonalnych. Ciekawszy jest bodziec językowy, który może wystąpić praktycznie na każdym poziomie językowym, ale najczęściej działa w zakresie słownictwa. Przykład: informator z Panny Marii (Teksas) opowiada o pewnym wydarzeniu w San Antonio: „tam buw interpretər, co ze špañolskiego na amerykański twumačyw, twumač”. Inny informator — opowiadając o krowach: „zrowpuje na powrus uvjunze”. Informatorka z Chicago nie mogła sobie przypomnieć słowa *białka*. Gdy rozmowa po pewnym czasie zeszła na temat zup, w sposób naturalny, nie zauważywszy tego nawet, wymieniła je.

Wśród Amerykanów polskiego pochodzenia żywotna jest również skłonność do pomnażania wariantów, wyrażająca się w stwierdzeniu: można tak i tak powiedzieć, podczas gdy w rzeczywistości norma językowa nie dopuszcza wyboru.

<sup>10</sup> H. Paul: „Prinzipien der Sprachgeschichte”; wyd. 3. Halle 1898, s. 105.



Eugeniusz Grodziński

## O POJĘCIU WIELOZNACZNOŚCI „ŁAŃCUCHOWEJ”

Przez *wyraz jednoznaczny danego języka* rozumiemy wyraz mający w tym języku tylko jeden zakres. Zakresem wyrazu jest klasa przedmiotów o wspólnej cesze lub, najczęściej, o pewnym zespole wspólnych cech.

Wyrazem jednoznacznym języka polskiego jest np. wyraz *bruk* — «nawierzchnia ulicy lub drogi wyłożona kamieniem naturalnym, kostką kamienną lub drewnianą, asfaltem itp.»<sup>1</sup>. Każda nawierzchnia o wskazanych cechach należy do zakresu wyrazu *bruk*. Innych zakresów wyraz ten nie ma.

Przez *wyraz wieloznaczny danego języka* rozumiemy każdy wyraz języka mający w nim dwa lub kilka zakresów, przy czym każdemu zakresowi odpowiada odrębne znaczenie wyrazu, a wszystkie znaczenia powiązane są więzią treściową o różnym charakterze. Więź treściowa między znaczeniami wyrazu wieloznacznego jest odbiciem więzi rzeczowej zachodzącej między desygnatami tego wyrazu, gdy występuje on w różnych znaczeniach, czyli między desygnatami tego wyrazu należącymi do różnych jego zakresów.

Wyrazem wieloznacznym języka polskiego jest np. wyraz *sok*. W pierwszym znaczeniu *sok* oznacza: «płyn w organizmach roślinnych»<sup>2</sup>. Każdy płyn w organizmie roślinnym należy więc do pierwszego zakresu wyrazu *sok*. W drugim znaczeniu *sok* to: «płyn otrzymany (często wyciskany) z owoców lub jarzyn, zwykle dla celów spożywczych albo leczniczych»<sup>3</sup>. Każdy płyn o powyższych cechach należy do drugiego zakresu wyrazu *sok*. W trzecim znaczeniu *sok* to «wydzielina z gruczołów lub narządów trawiennych organizmów zwierzęcych»<sup>4</sup>. Każda taka wydzielina należy do trzeciego zakresu wyrazu *sok*.

Związek treściowy między pierwszym a drugim znaczeniem tego wyrazu polega na tym, że jego desygnat w drugim znaczeniu jest w zasadzie identyczny z desygnatem tegoż wyrazu w znaczeniu pierwszym, z tą tylko różnicą, że desygnatem wyrazu *sok* w pierwszym znaczeniu

<sup>1</sup> „Słownik języka polskiego” pod redakcją prof. W. Doroszewskiego, t. 1, Warszawa 1958, s. 672.

<sup>2</sup> Op. cit., t. 8, s. 484.

<sup>3</sup> Ibidem.

<sup>4</sup> Ibidem.



jest płyn znajdujący się wewnątrz organizmu roślinnego, w drugim zaś znaczeniu — tenże płyn, lecz wydobyty na zewnątrz. Natomiast związek treściowy między pierwszym a trzecim znaczeniem wyrazu *sok* polega na podobieństwie między desygnatami: zarówno desygnat tego wyrazu w pierwszym znaczeniu, jak i jego desygnat w trzecim znaczeniu, są płynami, i to płynami znajdującymi się wewnątrz organizmów żywych, tyle tylko, że pierwszy płyn znajduje się wewnątrz organizmu roślinnego, drugi zaś wewnątrz organizmu zwierzęcego.

Przez *homonimy* wielu autorów rozumie takie pary wyrazów, których człony mają jednakowe brzmienie i pisownię, lecz obce sobie znaczenia, tzn. znaczenia nie połączone związkami treściowymi. Wielu innych autorów natomiast włącza do treści pojęcia *homonim* jeszcze jedną cechę, a mianowicie: wyrazy stanowiące parę homonimiczną muszą różnić się swym pochodzeniem. Jeśli nie ma różnicy pochodzenia, to — według zwolenników tej drugiej koncepcji — choć brak jest więzi treściowej między znaczeniami, mamy do czynienia z j e d n y m wyrazem wieloznacznym, a nie z dwoma homonimami. Zwolennicy drugiej koncepcji przytaczają na jej poparcie niektóre istotne argumenty, w szczególności zaś ten, że wspólność czy też różność pochodzenia zawsze daje się niewątpliwie ustalić, gdy tymczasem stwierdzenie istnienia więzi treściowej między znaczeniami bądź jej braku — jest często uzależnione od subiektywnej interpretacji badacza. Mimo to — z powodów, których ze względu na szczupłość miejsca nie będziemy tu przytaczali — podzielamy w niniejszym artykule punkt widzenia adherentów pierwszego spośród przytoczonych ujęć istoty homonimów. Ograniczymy się przy tym do zwrócenia uwagi, że właśnie pierwsza koncepcja pozwala na uznanie stwierdzonego przez licznych językoznawców zjawiska przechodzenia wieloznaczności w homonimie, czyli przekształcania się wyrazu wieloznacznego w parę homonimiczną.

Gdy mówimy, że homonimy są to wyrazy o jednakowym brzmieniu i pisowni, których znaczenia nie są połączone związkiem treściowym, to ostatnią część tej definicji powinniśmy interpretować zwięźajaco. Chodzi o to, że język, którym się posługujemy, odbija w pewien sposób w naszej świadomości otaczającą nas rzeczywistość, ta zaś rzeczywistość składa się, jak wiadomo, ze zjawisk wzajemnie ze sobą w ten czy inny sposób powiązanych. Można wobec tego na uparte go twierdzić, że znaczenia wszystkich wyrazów języka, nie tylko równobrzmiących, lecz także brzmiających zgoła odmiennie, są ze sobą powiązane związkami treściowymi, odbijającymi związki między zjawiskami rzeczywistości, i że nie istnieją wyrazy, których znaczeń nie łączy ż a d e n związek treściowy.

Gdy mówimy więc „znaczenia homonimów nie są połączone związkiem treściowym”, należy to rozumieć w ten sposób, iż nie łączy tych znaczeń taki związek, który mógłby służyć za podstawę przeniesienia nazwy z jednej klasy przedmiotów na drugą. Tak np. wyraz *bark* jako



nazwa części ludzkiego ciała nie jest pozbawiony w ogóle związku treściowego z wyrazem *bark* jako nazwą statku, gdyż desygnaty obu wyrazów mają tę cechę wspólną, iż są przedmiotami materialnymi. Jednakże językoznawcy słusznie traktują wyrazy *bark* w obu tych znaczeniach jako homonimy, cecha bycia przedmiotem materialnym nie wystarcza bowiem do przeniesienia nazwy z jednej klasy przedmiotów na drugą. Trudno sobie np. wyobrazić, ażeby w jakimkolwiek języku nazwa *góra* przeniesiona została na klasę przedmiotów *zapalniczki* (tak iżby zapalniczki nazywały się w tym języku *górami*), choć zarówno *góra*, jak i *zapalniczka*, są przedmiotami materialnymi. Natomiast wyraz *grzbiet* w zwrocie *grzbiet człowieka* oraz wyraz *grzbiet* w zwrocie *grzbiet książki* nie są traktowane jako homonimy, lecz jako egzemplarze jednego wyrazu wieloznacznego, nie dlatego jednak, że ich desygnaty są przedmiotami materialnymi, lecz dlatego, że między tymi desygnatami zachodzi pewne podobieństwo kształtu, podobieństwo kształtu zaś często służy za podstawę przeniesienia nazwy z jednej klasy przedmiotów na drugą.

Przez *wieloznaczność „łańcuchową”* będziemy rozumieli wieloznaczność wyrazu, którego znaczenia tworzą *łańcuch*, przy czym sąsiednie ogniwa tego łańcucha są połączone związkami treściowymi, skrajne natomiast ogniwa są sobie treściowo obce, gdyż nie są takimi związkami połączone (w zwężającym ujęciu terminu *związek treściowy między znaczeniami*, o którym to ujęciu przed chwilą mówiliśmy).

Związki treściowe między sąsiadującymi ze sobą ogniwami łańcucha znaczeń są zazwyczaj różnej natury. Gdyby znaczenia danego wyrazu wieloznacznego były połączone jednorodnym związkiem treściowym (jak to zresztą nieraz bywa), wówczas obejmowałby on wszystkie znaczenia tego wyrazu i nie doszłoby do sytuacji, w której niektóre znaczenia są sobie obce.

Słynny dwudziestowieczny filozof i logik Ludwig Wittgenstein określił różnorodne związki rzeczowe, jakie zachodzą między desygnatami tego samego wyrazu wieloznacznego, występującego w różnych znaczeniach, mianem *podobieństwa rodzinne* (*family resemblances*). „Nie potrafię — pisał ten autor — lepiej określić tych podobieństw jak używając zwrotu *podobieństwa rodzinne*, w ten sposób bowiem krzyżują się rozliczne podobieństwa, jakie zachodzą między członkami rodziny: podobieństwa wzrostu, rysów twarzy, koloru oczu, sposobu chodzenia, temperamentu itd. itd.”<sup>5</sup>

Zjawisko, które określamy mianem *wieloznaczności „łańcuchowej”*, jest mocno zakorzenione w języku polskim, podobnie jak w innych językach naturalnych, którym właściwa jest w większym lub mniejszym stopniu wieloznaczność wyrazów. Dokonajmy rozbioru semantycznego kilku wyrazów języka polskiego, których wieloznaczność stanowi egzemplifikację wieloznaczności „łańcuchowej”.

<sup>5</sup> Ludwig Wittgenstein: „*Philosophical Investigations*”. Oxford 1958, p. 32.



Wyraz *noga* w pierwszym, podstawowym znaczeniu oznacza kończynę dolną człowieka bądź jedną z kończyn zwierzęcia; w drugim znaczeniu tenże wyraz oznacza stopę ludzką, w trzecim wreszcie *noga* oznacza: «część sprzętu, przyrządu stanowiącą jego podporę, zwykle słupek lub klocek»<sup>6</sup>. Związek treściowy pomiędzy pierwszym a drugim znaczeniem wyrazu *noga* polega na tym, że desygnat tego wyrazu w pierwszym znaczeniu ma się do jego desygnatu w drugim znaczeniu jak całość do części. Związek treściowy między pierwszym a trzecim znaczeniem tego wyrazu polega nie na relacji całość — część między desygnatami, lecz na pewnym podobieństwie ich kształtu i funkcji. Nogi stołu są nieco podobne do nóg ludzkich i podpierają blat stołu, tak jak nogi człowieka podpierają górną część jego ciała.

Między drugim a trzecim znaczeniem wyrazu *noga* nie ma w ogóle związku treściowego. Noga stołu wcale nie jest podobna do stopy ludzkiej, ani nie pełni podobnej funkcji. Stopa bowiem nie jest zdolna do podpierania górnej części ciała człowieka, ponieważ z nią się nie styka.

Wynika stąd, że *nogę* jako nazwę stopy ludzkiej oraz *nogę* jako nazwę podpory sprzętu należałoby traktować jako homonimy. Dlaczego jednak nikt tak nie uważa, a *nogę* we wszystkich znaczeniach traktuje się jako *j e d e n* wyraz wieloznaczny? Dlatego że znaczenia wyrazu *noga* tworzą łańcuch i wszystkie ogniwa tego łańcucha są ze sobą powiązane, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio.

Podmiotami wieloznaczności „łańcuchowej” mogą być nie tylko rzeczowniki, lecz również inne części mowy. Wieloznacznością tego typu odznacza się np. przymiotnik *zielony*. *Zielony* w znaczeniu pierwszym, podstawowym to tyle, co: «mający kolor świeżej trawy, świeżych liści itp.». W drugim znaczeniu *zielony* — w odniesieniu do roślin i owoców — to tyle, co «niedojrzały». Związek treściowy między obu powyższymi znaczeniami polega na podobieństwie desygnatów pod względem koloru. Niedojrzałe jabłka, gruszki, niedojrzałe zboże mają, jak wiadomo, kolor zielony lub zielonkawy. W trzecim znaczeniu — w odniesieniu do ludzi — *zielony* — to «niedoświadczony bądź taki, co jeszcze nie zdążył się dostosować do jakiegoś środowiska». W tym znaczeniu mówi się o *zielonym młodzieńcu*, *zielonym imigrancie* itp. Związek treściowy między drugim a trzecim znaczeniem wyrazu *zielony* polega na tym, że zielone jabłko jest niedojrzałe i „zielony” młodzieniec jest niedojrzały, choć niedojrzałość jabłka — to nieosiągnięcie przez nie pełni rozwoju fizycznego, a niedojrzałość młodzieńca — to brak doświadczenia życiowego.

Natomiast pierwsze i trzecie znaczenia wyrazu *zielony* nie mają żadnej wzajemnej łączności treściowej: zielony młodzieniec nie musi być zielony na twarzy, nie musi także nosić ubrania w kolorze zieleni.

<sup>6</sup> „Słownik języka polskiego” pod redakcją prof. W. Doroszewskiego, t. 5, s. 339.



Podaliśmy dwa przykłady wieloznaczności „łańcuchowej”, wymieniając w każdym wypadku po trzy ogniwa łańcucha znaczeń. Klasycznym przykładem łańcucha wieloogniowego jest łańcuch, w który układają się znaczenia francuskiego wyrazu *bureau*. Wyraz ten oznaczał pierwotnie tkaninę, której używano jako serwety do nakrywania stołu. Później nazwa przeszła na stół (pokryty lub nie pokryty taką serwetą), przy którym pisano. Ze stołu nazwa *bureau* została przeniesiona na pomieszczenie, w którym znajdowały się stoły do pisania. Z kolei przeszła ona na zespół funkcjonariuszy, którzy w takim pomieszczeniu pracowali; jeszcze później została przeniesiona na pewne urzędy publiczne i wreszcie na zespoły kierownicze ciał kolegialnych (np. *le bureau du Sénat*). Prawie wszystkie spośród powyższych sześciu znaczeń dotychczas żyją w języku francuskim. Jedynie sąsiednie ogniwa znaczeniowe wyrazu *bureau* — w wymienionym przed chwilą porządku — połączone są więzią treściową. Brak takiej więzi między ogniwami bardziej oddalonymi. Wyraz *bureau* jako nazwa organu kierowniczego ciała kolegialnego nie ma łączności znaczeniowej nie tylko z *bureau* jako nazwą tkaniny, lecz również z *bureau* jako nazwą stołu do pisania, a nawet jako nazwą pomieszczenia.

Odmianą wieloznaczności „łańcuchowej” jest wieloznaczność, którą nazwiemy wieloznacznością „gwiazdzistą”. W tym wypadku jedno ze znaczeń wyrazu połączone jest różnorodnymi związkami treściowymi ze wszystkimi znaczeniami (których jest więcej niż dwa), lecz te ostatnie są sobie treściowo obce. Znaczenie wiążące może, lecz nie musi, być jednocześnie znaczeniem podstawowym, tzn. najczęściej używanym. Jako przykład wieloznaczności „gwiazdzistej” niech nam posłuży wieloznaczność wyrazu *głowa* (którego zresztą nie wszystkie znaczenia tu rozważymy). W pierwszym znaczeniu *głowa* jest to «część ciała ludzkiego lub zwierzęcego, w której znajduje się mózg i narządy zmysłów». W drugim znaczeniu *głowa* — to «przedmiot podobny kształtem do głowy ludzkiej» (np. *głowa sera* lub *głowa cukru*). W trzecim znaczeniu *głowa* — to tyle, co «jednostka ludzka» (np. *spożycie tłuszczów na głowę*). I wreszcie w czwartym *głowa* — to «człowiek kierujący grupą ludzką, organizacją, instytucją» (np. *głowa rodziny, głowa państwa*). Pierwsze znaczenie powiązane jest z drugim podobieństwem kształtu desygnatów; pierwsze z trzecim — relacją desygnatów jak część do całości (*głowa* jest częścią człowieka jako pewnej całości); pierwsze z czwartym — niejakiem podobieństwem funkcji, jaką pełni z jednej strony *głowa* w stosunku do innych części ciała, a z drugiej osoba kierująca w stosunku do kierowanych (jest to funkcja rządu, wydawania rozkazów, jak również kierownictwa intelektualnego). Natomiast drugie, trzecie i czwarte znaczenia nie są między sobą połączone więziami treściowymi. Myliliby się w szczególności ten, kto by sądził, że więź taka istnieje między trzecim a czwartym znaczeniem. Istnieje przecież niezmiernie nikłe prawdopodobieństwo przeniesienia nazwy człowieka (trzecie znaczenie wyrazu *głowa*) na osobę kierującą



(czwarte znaczenie), ponieważ ludźmi są równie dobrze kierujący, jak i kierowani.

Wieloznaczność „łańcuchową” wyrazu *bureau* możemy graficznie przedstawić w sposób następujący:



Natomiast wieloznaczność „gwiazdzista” wyrazu *głowa* przedstawimy, jak następuje:



Przechodzenie wieloznaczności w homonimie to najczęściej nic innego, jak rozpad wieloznaczności „łańcuchowej” bądź wieloznaczności „gwiazdzistej”, następujący w wyniku tego, że używanie wyrazu w znaczeniach pośrednich, wiążących skrajne, staje się coraz rzadsze, aż znika zupełnie z żywego języka, pozostaje zaś używanie wyrazu w znaczeniach skrajnych, nie powiązanych treściowo.

Zanalizujmy wypadek wieloznaczności „łańcuchowej”, w którym rozpad tej wieloznaczności i przekształcanie się wyrazu w znaczeniach skrajnych w odrębne wyrazy — homonimy nie zostały jeszcze zakończone, ponieważ znaczenie wiążące, aczkolwiek już przestarzałe, żyje jeszcze w języku. Obiektem naszej analizy niech będzie wyraz *zwracać*. Wyraz ten ma dzisiaj dwa najczęściej spotykane znaczenia. W pierwszym znaczeniu *zwracać* to tyle, co: «kierować w jakąś stronę, skręcać coś (kogoś) w jakimś kierunku». W drugim znaczeniu *zwracać* to tyle, co: «oddawać właścicielowi jakąś rzecz wziętą od niego uprzednio».

Oba powyższe znaczenia wyrazu *zwracać* są obce sobie treściowo. Co prawda desygnaty tego wyrazu w obu wymienionych znaczeniach są czynnościami, ale to jeszcze nie wystarcza, ażeby nazwa *zwracać* mogła być przeniesiona z czynności skręcania jakiejś rzeczy w pewną stronę na czynność oddawania pewnej rzeczy właścicielowi, od którego została przedtem wzięta.

Istnieje jednakże jeszcze jedno, aczkolwiek wychodzące już z użycia, znaczenie wyrazu *zwracać*. W tym trzecim znaczeniu *zwracać* — to tyle, co: «kierować w odwrotną stronę, zawracać». Otóż to trzecie znaczenie jest powiązane treściowo zarówno z pierwszym, jak i z drugim, choć więzi te nie są jednorodne. Więź treściowa pomiędzy pierwszym a trzecim znaczeniem polega na tym, że trzecie znaczenie jest zwężeniem pierwszego. Istotnie, jeżeli *zwracać* w pierwszym znaczeniu to tyle, co «kierować jakąś rzecz w dowolną stronę (również i w odwrotną)», to *zwracać* w trzecim znaczeniu — to «kierować jakąś rzecz w stronę odwrotną (a nie żadną inną)». Natomiast drugie i trzecie znaczenia czasownika *zwracać* mają tę



wspólność treściową, iż oddanie rzeczy właścicielowi, od którego została uprzednio wzięta, jest jakby skierowaniem jej w odwrotną stronę, mianowicie z powrotem do właściciela.

Dopóki wyraz *zwracać* jako równoznacznik zwrotu *kierować w odwrotną stronę* nie wyszedł całkowicie z użycia, dopóty wyraz ten we wszystkich swoich znaczeniach utrzymuje się w języku jako jeden wyraz wieloznaczny (reprezentant wieloznaczności „łańcuchowej”) i nie rozpada się na homonimy, aczkolwiek — jak niedawno widzieliśmy — pierwsze i drugie znaczenia tego wyrazu są sobie obce.

Przytoczmy obecnie dwa przykłady już dokonanego rozpadu wyrazu wieloznacznego i przeobrażenia się go w parę homonimiczną wskutek wypadnięcia znaczenia wiążącego znaczenia skrajne. Wyraz *kula* w znaczeniu «bryła mająca tę właściwość, iż wszystkie punkty na jej powierzchni są jednakowo oddalone od środka» oraz wyraz *kula* w znaczeniu «pocisk do broni palnej» są dziś homonimami, gdyż znaczenia ich nie mają związku treściowego<sup>7</sup>. Nie zawsze jednak tak było. Pociski dawnej artylerii miały kształt kulisty i dlatego zostały nazwane *kulami*. Nazwa ta przeszła później na pociski nowszej broni palnej, nie ze względu na podobieństwo kształtu, gdyż pociski te nie musiały już mieć kształtu kulistego, lecz ze względu na podobieństwo funkcji. Dopóki żywe było w języku znaczenie wiążące, mianowicie wyraz *kula* w znaczeniu «pocisk artyleryjski o kształcie kulistym», dopóty istniała jedność tego wyrazu jako wyrazu wieloznacznego, reprezentanta wieloznaczności „łańcuchowej”. Gdy jednak znaczenie wiążące — w związku z postępem techniki wojennej — wypadło definitywnie z języka, nastąpił nieuchronny rozpad wyrazu wieloznacznego na parę homonimiczną.

Analogicznie przedstawia się historia wyrazu *pióro* w języku polskim (jak również *la plume* w jęz. francuskim, *nepo* w jęz. rosyjskim, *die Feder* w jęz. niemieckim, *penna* w jęz. włoskim, *pluma* w jęz. hiszpańskim itd.).

Nazwa *pióro* będąca pierwotnie jedynie nazwą wytworu naskórka ptaków została przeniesiona na narzędzie do pisania dlatego, że desygnaty wyrazu *pióro* w znaczeniu pierwotnym i pochodnym miały identyczną substancję. Pióro jako narzędzie do pisania nie było niczym innym, jak zaostrzonym na końcu piórem wydartym gęsi. Z pióra gęsiego jako narzędzia do pisania nazwa *pióro* została z kolei przeniesiona na stalówkę, lecz już nie ze względu na identyczność substancji, lecz na identyczność funkcji. Wyraz *pióro* był zatem wyrazem wieloznacznym dopóty, dopóki pióro gęsie konkurowało ze stalowym jako narzędzie do pisania. Temu stanowi rzeczy odpowiadało pośrednie, wiążące znaczenie wyrazu *pióro*:

<sup>7</sup> W „Słowniku języka polskiego” pod redakcją Doroszewskiego powyższe znaczenia podane są jako różne znaczenia jednego wyrazu wieloznacznego, a nie jako znaczenia homonimów (p. op. cit., t. 3, s. 1270). Wymieniony *Słownik* stosuje bowiem — przy odróżnieniu wieloznaczności od homonimii — kryterium genetyczne, a nie znaczeniowe.



«zatemperowane pióro gęsie służące jako narzędzie do pisania». Gdy jednak stalówka wyparła całkowicie pióro gęsie, owo pośrednie znaczenie wyrazu *pióro* znikło z języka, a tym samym wyraz ten rozpadł się na parę homonimów: *pióro* jako nazwa wytworu naskórka ptaków oraz *pióro* jako nazwa narzędzia do pisania, zrobionego ze stali lub ze złota. Wyrazy te są homonimami dlatego, że prawdopodobieństwo przeniesienia w jakimkolwiek języku nazwy wprost z wytworu naskórka ptaków na metalowe narzędzie do pisania praktycznie równa się zero.

Nie twierdzimy, że przejście wieloznaczności w homonimie może się odbywać wyłącznie w drodze rozpadu wieloznaczności „łańcuchowej” (względnie wieloznaczności „gwiazdzistej”). Wydaje się jednak, że uświadomienie sobie tych postaci wieloznaczności pomaga w zrozumieniu podstawowego modelu tego ważnego zjawiska językowego, jakim jest przekształcenie się wyrazu wieloznacznego w parę homonimiczną.

Do artykułu dra Grodzińskiego, pisanego jasnym i prostym stylem, można dodać uwagę teoretyczną. Treść znaczeniowa wyrazu, czyli zespół wyobrażeń z nim się kojarzących, można określić jako swoisty stereotyp dynamiczny, którego względna równowaga zawsze jest narażona na zakłócenia pod wpływem działania bodźców środowiskowych, sytuacyjnych. Kierunki tych oddziaływań są zasadniczo nieobliczalne, ale ich mechanizm jest względnie prosty: czynnikiem rozstrzygającym o kojarzeniu się elementów sytuacyjnych w pamięci mówiących jest jednoczesność doznań, czyli styczność tych elementów w przestrzeni i w czasie. Badanie znaczeń wyrazów nie jest badaniem tego, co się dzieje w „monadach” indywidualnych świadomości, ale jest badaniem tworzenia się odruchów warunkowych na bodźce działające z zewnątrz na aparat percepcyjny (analityczny i mózg) każdego z uczestników danego środowiska językowego.

Witold Doroszewski



Józef T. Kania

## PATOLOGICZNE ARTYKULACJE GŁOSKI R \*

Wadliwe sposoby wymowy *r*, dziś już powszechnie nazywane rotacyzmem (łac. rhotacismus) zasługują na omówienie głównie z dwu powodów, po pierwsze należą one do najczęściej spotykanych zaburzeń, całe więc zagadnienie może mieć aspekt praktyczny, a po drugie różnorodność występujących form stać się może równocześnie podstawą interesujących obserwacji, przeważnie z zakresu tzw. fonetyki ogólnej<sup>1</sup>.

Terminy nazywające zaburzenia artykulacyjne, podobnie jak i pozostałe polskie terminy logopedyczne jeszcze się nie ustaliły, są w dalszym ciągu tworzone przygodnie przez spolszczanie obcych, najczęściej łacińskich nazw, przez szukanie odpowiedników w polskim słownictwie<sup>2</sup>, wreszcie przez tworzenie nowych określeń na wzór już istniejących. W tak spontanicznie powstającej terminologii krzyżuje się zazwyczaj kilka różnych podstaw tworzenia terminów, a jej niestabilność i w pewnym stopniu fakultatywność potęguje jeszcze fakt, że przedstawiciele różnych dyscyplin związanych z przedmiotem badania — patologią mowy — wnoszą nie tylko terminy z własnych nauk, ale i typowy dla danej dziedziny sposób ich tworzenia.

---

\* Artykuł ma charakter specjalny, zależy nam jednak na tym, żeby się łączyły ze sobą wszelkie formy pracy nad językiem; pracą bardzo ważną jest niesienie pomocy osobom cierpiącym na zaburzenia mowy we wszelkiej postaci, między innymi w zakresie artykułowania dźwięków mowy, tego zaś dotyczy artykuł p. J. Kani, który publikujemy w tym numerze „Poradnika”. Ze względów technicznych nie możemy niestety umieścić wszystkich tablic. Red.

<sup>1</sup> Fonetyka ogólna rozumiana jest tak samo jak w pracy W. Doroszewskiego: „Z zagadnień fonetyki ogólnej” (Warszawa 1936): ... „fonetyka ogólna bada to, co w fonetycznym aspekcie języka jest właściwością człowieka jako gatunku, to znaczy zajmuje się systematycznym opisem wszystkich możliwych czynności narządów mowy, posługując się faktami poszczególnych języków jako ilustracjami ogólnoludzkich możliwości artykulacyjnych” (s. 58). Takie samo miejsce wyznacza fonetyce T. Milewski: „Fonetyka klasyfikuje głoski spotykane w żywej mowie oraz wyjaśnia ich naturę fizjologiczną i fizyczną, a przez to podaje w gruncie rzeczy system możliwości fonacyjnych ludzkich organów mowy”. („Zarys językoznawstwa ogólnego”. cz. I. Lublin—Kraków 1947, s. 137).

<sup>2</sup> Ten sposób jest najmniej stosowany z uwagi na ekspresywny charakter potocznych określeń nazywających odrębności indywidualne mowy.



Spośród trzech używanych w języku polskim określeń na odbiegające od normy sposoby wymowy *r*, dwa: *rotacyzm* i *reranie* odnoszą się do wszystkich typów artykulacji, trzeci zaś *grasejowanie* tylko do *r* języczkowego. W języku francuskim, skąd określenie to się wywodzi, *grasse yement* oznaczało początkowo również wadę wymowy (*r* języczkowe), z chwilą upowszechnienia się tego sposobu wymowy uznano go za normę, a dotychczasowego terminu zaczęto używać w nowym znaczeniu każdego „niezwykłego” sposobu wymowy tej głoski<sup>3</sup>. Określenie to, jak i odpowiadające mu znaczeniem terminy *r francuskie*, *r niemieckie* nie mają racji bytu.

Odpowiedź na pytanie, który z dwu pozostałych terminów winien być używany, jest zarazem odpowiedzią na ogólniejszą kwestię — którą z dwu zasad tworzenia terminów logopedycznych należy przyjąć: spolszczania łacińskich nazw, czy też tworzenia polskich neologizmów? Rozstrzygnąć ją wypadnie na korzyść zasady pierwszej, świadczy m.in. za nią nowsza praktyka pisarska i to nie tylko w Polsce. W dalszej części artykułu używać będziemy zatem terminu *rotacyzm*.

Prawidłowe polskie *r* jest dźwiękiem wibracyjnym. Narządem artykulującym aktywnie jest przód języka, który zbliżając się do alweoli aż do wytworzenia małej szczeliny lub krótkotrwałego zwarcia, wykonuje kilka drgań (najczęściej 2-3, wyjątkowo 6). W języku polskim, jak to z eksperymentalnych badań M. Dłuskiej<sup>4</sup> wynika, *r* o jednym uderzeniu nie jest czymś odosobnionym. Takie *r* wyraźnie jednak różni się od *d* i to nie tylko czasem trwania i sposobem wykonania zwarcia, ale kształtem oraz układem przodu języka.

Powstawanie wibracji tłumaczy się niekiedy wyłącznie pasywnie: różnicą ciśnień powietrza przed i za przegrodą<sup>5</sup>. Fakty patologii mowy odślaniają słabe strony takiego wyjaśnienia. Gdyby tak było istotnie, wystarczyłby dla uzyskania wibracji odpowiedni układ narządów mowy — prąd powietrza byłby w stanie spowodować drgania narządu artykulacyjnego. Tak jednak nie jest, przy ćwiczeniu *r* nie dają rezultatów metody pasywne, polegające na mechanicznym układaniu narządów mowy. Mówienie wymaga zawsze aktywnego udziału kory mózgowej, do tego stopnia, że wyprodukowanie dźwięku artykułowanego w organizmie ludzkim bez impulsów z centralnego układu nerwowego jest wręcz niemożliwe. Chyba najbardziej przekonująco dowodzą tego wypadki afazji.

Bardzo często określa się głoskę *r* jako fizjologicznie trudną. Po stronie artykulacyjnej o trudnościach tych stanowią: wibracja, wymagająca elastyczności narządu oraz szybkości i precyzji jego ruchów, złożony układ

<sup>3</sup> por. np. L. Roudet: „Zasady fonetyki ogólnej”. Warszawa 1917, s. 167.

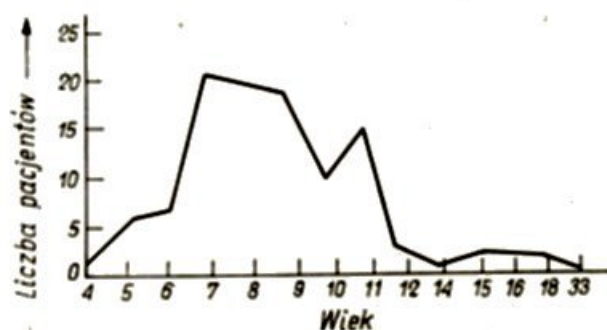
<sup>4</sup> por. „Quelques problemes de phonetique en polonais etudies experimental-ement”. Archivum Neophilologicum I, 2 (1934), s. 323—373; oraz: „Polskie *r* i inne głoski sonorne”. SPAU 39 (1934), nr 1, s. 12—14.

<sup>5</sup> L. R. Zinder: „Obščaja fonetika”. Leningrad 1960, s. 146.



języka (każda część zajmuje inne położenie), krótki czas trwania tak zmieniających się artykulacji (*r* ma najmniejszy ze wszystkich głosek polskich iloczas) <sup>6</sup>.

Podstawę materiałową niniejszego artykułu stanowią pacjenci lubelskiej Poradni Foniatrycznej <sup>7</sup>. Obserwowałem 110 osób w wieku 4—33 lat, wśród których przytłaczającą większość stanowiły dzieci w wieku 7—11 lat (por. przytoczony niżej wykres). Już tutaj należy zauważyć, że taki materiał jest w pewnym stopniu wyselekcjonowany i nie pozwala na wyciąganie ostatecznych wniosków. Toteż uzupełniony on został obserwacjami 15 osób (wszyscy powyżej 18 lat) wadliwie wymawiających *r*.



Notowałem skrupulatnie także współwystępujące wady wymowy, pod tym względem materiał dostarcza wielu ciekawych danych i pozwala nieco inaczej niż to robiono dotychczas rozwiązać problem częstego współwystępowania z rotacyzmem zaburzeń głosek *š*, *ž*, *č*, *š*.

Przy opisie form wadliwej wymowy *r* posługuje się podziałem ogólnym, stosowanym w literaturze medycznej oraz w pracach logopedycznych. Wyodrębnia się w nim 3 grupy form:

1) opuszczanie głoski *r* jako jednego ze składników wyrazu, np. *yba* (ryba), *ama* (rama);

2) zastępowanie głoski *r* przez inne głoski danego języka: *kula* (kura), *jak* (rak) itp., jest to tzw. pararotacyzm;

3) artykulowanie głoski nie występującej w systemie fonetycznym danego języka, a więc *r* języczkowe, realizowane jako wibracja warg itd., te formy nazywa się rotacyzmem właściwym — są to najczęściej, choć nie wyłącznie, głoski wibracyjne.

Wydzielone grupy nie są pod względem ilościowym i jakościowym równorzędne, szczególnie ostatnia jest zróżnicowana do tego stopnia, że wymaga dalszego podziału pod względem miejsca artykulacji i sposobu jej wykonania, przy niej napotykamy też trudności zapisu — używając tradycyjnej pisowni fonetycznej nie jesteśmy w stanie dokładnie oddać

<sup>6</sup> H. Koneczna: „Studium eksperymentalne artykulacji głosek polskich”. *Prace Filologiczne XVI* (1934), s. 120.

<sup>7</sup> W tym miejscu pragnę podziękować dr W. Paplińskiej, Kierownikowi Poradni za umożliwienie prowadzenia badań, a mgrowi K. Przybyłce za wydatną pomoc w zbieraniu materiału.



dźwięków o złożonej i w nietypowy sposób rozczłonkowanej artykulacji. W przyszłości dużą pomocą będą znaki fonetyczne specjalne<sup>8</sup>.

Ten sposób podziału da się zastosować do zaburzeń wszystkich głosek języka, zwłaszcza do głosek najczęściej wadliwie wymawianych, np. s, z, c, ʒ, š, ž, č, ʒ (sygmatyzm). Praktyka posługiwania się tym podziałem w literaturze medycznej i logopedycznej dowodzi, że nie zwracano dostatecznej uwagi na drobne różnice brzmienia, jakie zachodzą między określoną formą wadliwej wymowy a inną głoską języka. Przy stosunkowo niewielkich różnicach formę taką zaliczano do pararotacyzmu. Również szukano analogii między formami wadliwymi a prawidłowymi elementami innych języków na podstawie podobieństwa brzmienia. Zaklasyfikowanie form do którejs z grup musi odbywać się na podstawie danych, które dostarcza fonetyka określonego języka (kryterium ortofoniczne), a w uzasadnionych wypadkach fonetyka indywidualna: np. za parasygmatyzm uznać należy wymowę š w postaci dozębowego spirantu, wówczas gdy s jest w ten sam sposób artykułowane przez danego osobnika, gdyby zaś s było prawidłowe, dozębowy spirant wymawiany w miejsce š zaliczyć trzeba do sygmatyzmu właściwego. Prawidłowe stosowanie niniejszego podziału zmusza do systemowego, a nie izolowanego patrzenia na zaburzenia artykulacyjne, jego konsekwencją zaś jest nieco inne rozumienie pararotacyzmu, a niekiedy i rotacyzmu właściwego.

1. Wymowę  $r = \emptyset$  (czyli opuszczanie r) spotkałem zaledwie u 5 dzieci. Wyniki te są zgodne z danymi Demela<sup>9</sup> i Liški<sup>10</sup>, którzy taką wymowę notowali jedynie w kilku wypadkach, pierwszy u 7 spośród 211 dzieci, drugi u 3 spośród 250. W porównaniu z nimi dane Dylewskiego<sup>11</sup> są zaskakujące — wymowa  $r = \emptyset$  stanowi w jego wyliczeniach 44,8% (!) wszystkich przypadków wadliwej wymowy r. Różnice są więc olbrzymie i podobnie jak rozbieżności w ogólnej ilości dzieci z wadami mowy mają różnorodne przyczyny. Te ostatnie starałem się zanalizować w artykuliku: *O polskich statystykach wad wymowy* („Życie Szkoły” 1962, z. 3). Oprócz tam wymienionych, takich jak: różnice w pojmovaniu samych zaburzeń, wiek dzieci, metoda badania, kwalifikacje badających, na duży odsetek wypadków  $r = \emptyset$  u Dylewskiego wpłynąć mogły: odmienny sposób klasyfikowania form wadliwych, możliwość zaliczenia tu rotacyzmu tylnojęzykowego bez wibracji, dźwiękowego bez wibracji, możliwość zaliczenia wymowy dzieci o obcym systemie fonetycznym. Wydaje się, że różnice

<sup>8</sup> por. L. Kaczmarek: „Projekt pisowni fonetycznej specjalnej”. *Prace Filologiczne*, t. XVIII, cz. I, s. 79—82.

<sup>9</sup> M. Demel: „Kilka liczb i uwag dotyczących mowy i głosu dzieci szkolnych”. *Życie Szkoły* 14 (1959), z. 2, s. 9—19.

<sup>10</sup> J. Liška: „Rhotacismus (Foneticko-logopedická studie o chybnéj výslovnosti hlásky r a jej náprave”. *Vlastivedny Sbornik I* (1956), Košice.

<sup>11</sup> B. Dylewski: „Wady mowy i głosu w szkołach wileńskich i walka z tymi cierpieniami na terenie Wilna”. *Wychowanie Fizyczne* 1934, s. 1—17.



geograficzne poza wypadkami nad wyraz oczywistymi, np. języczkowe  $r$  u Polaków z dawnego zaboru pruskiego (por. W. Doroszewski: „Podstawy gramatyki polskiej”, s. 61), nie mogą mieć tutaj większego znaczenia.

2. Pararotacyzm, mimo że obserwowany w 75 wypadkach wystąpił w postaci mało zróżnicowanej — udało się stwierdzić tylko 4 formy:  $r = j$  (u 16 osób),  $r = l$  (u 53 osób),  $r = u$  (u 3 osób) oraz formę mieszaną  $r = l, j$  (u 3 osób).

2.A. Wymowy  $r = j$  nie obserwowałem w wieku powyżej 10 lat, przy czym jak zwykle u pacjentów poradni nieznaczne zwiększenie liczby przykładów takiej wymowy przypada na okres rozpoczęcia nauki szkolnej. Obok rotacyzmu występowały inne jeszcze wady: wymowa  $s, z, c, ʒ$  w miejsce  $š, ž, č, ř$  oraz  $ś, ź, ć, Ź$  w miejsce właściwych syczących i szumiących; w dwu tylko wypadkach rotacyzm był jedynym zaburzeniem.

2.B. Najliczniej wystąpiła zamiana  $r$  przez  $l$ . Jej nasilenie w moim materiale zamyka się w latach 7—11, wypadki późniejsze są sporadyczne. Statystyki Liški i Demela podają równie wysokie liczby w przeciwieństwie do Dylewskiego, który zanotował zaledwie 5 wypadków tej wymowy. Współwystępujące wady przedstawiają się podobnie jak w poprzedniej formie — najczęściej występuje wadliwa wymowa szumiących i syczących oddzielnie lub w kombinacji z innymi rzadziej spotykanymi zaburzeniami, tylko u 6 dzieci nie było żadnych dodatkowych wad.

2.C. Trzecia forma pararotacyzmu  $r = u$  (silnie zaokrąglone wargi i niekiedy znacznie podniesiony tył języka) była stwierdzona u trojga dzieci. Dylewski i tym razem podaje liczby bardzo różne od wymienionych w tym artykule:  $r = u$  zajmuje drugie pod względem liczebności miejsce, co wyraża się liczbą 81 wypadków (33,9% ogólnej liczby dzieci z rotacyzmem). Rozbieżności przynajmniej w pewnym stopniu łagodzi fakt, że artykulacje tylne często posiadają pewien odcień  $u$ , jakkolwiek nie są z nim identyczne.

2.D. Ostatnia forma pararotacyzmu wydzielona została nieco sztucznie — nie jest to jakiś odrębny sposób wymowy, ale typ pośredni, mający elementy pierwszej i drugiej. Były 3 takie wypadki, dwa z nich miało postać w nagłosie  $l$ , w śródgłosie  $j$ , jeden  $j$  w nagłosie, w pozostałych pozycjach  $l$ . Repartycja  $l$  i  $j$  może przebiegać różnie, nie zawsze zależy od pozycji w wyrazie, ale też od jego budowy fonetycznej, stopnia przyswojenia, wreszcie istnieje w pewnym okresie możliwość fakultatywnego używania obu głosek w tych samych pozycjach.

3.A. Pierwsza forma rotacyzmu właściwego:  $r = rl$  ma również charakter przejściowy i dlatego została wydzielona osobno z zespołu form innych, omówionych w punkcie B. Mamy tu do czynienia z dźwiękami zasadniczo wibracyjnymi, osoba tak wymawiająca nie jest w stanie przedłużyć drgań — artykulacja przodu języka wykonana jest nieprecyzyjnie



i słabo, dołączają się do niej i dalsze części przodu języka, w wyniku czego wydziela się pewien element boczny, przypominający *l*.

Formę tę notowałem w 9 wypadkach, tzn. w ilości, która nie pozwala na wyciąganie wniosków o współwystępujących wadach i ich liczbowym rozkładzie względem wieku.

3.B. Inne formy rotacyzmu właściwego omawiam łącznie dlatego, że interesował mnie głównie rozkład tych realizacji w poszczególnych latach i współwystępujące wady, co obserwować można tylko na większej liczbie przykładów. Z 21 zaliczonych tu wypadków wystąpiły po jednym razie: rotacyzm wargowy, dziąsłowy bez wibracji oraz środkowojęzykowy, 2 razy nosowy chrapliwy dźwięk, 9 razy rotacyzm języczkowy i 5 tylnojęzykowy oraz 2 razy tzw. zwarcie krtaniowe.

Co charakterystycznego widzimy przy tych formach? Uderza przede wszystkim duża liczba przykładów, w których inne wady nie występują. Liczba ich sięga prawie 50%, a jeśli włączymy tu dwa przypadki jąkania, zaburzenia przecież o zupełnie innym charakterze, odsetek ten jeszcze wzrośnie. Zjawisko to jest charakterystyczne wyłącznie dla rotacyzmu właściwego, inne formy licznie reprezentowane, np.  $r = l$ ,  $r = j$  nie wykazują żadnych analogii, forma  $r = rl$  może być traktowana jako stadium pośrednie, ale gwoli ścisłości nie może być brana pod uwagę podobnie jak i wymowa  $r = \emptyset$  z uwagi na małą liczbę wypadków.

Równie interesująco przedstawia się liczba przykładów w poszczególnych latach. Porównanie przebiegu krzywych na poniższym wykresie pozwala ustalić następujące cechy charakterystyczne już tylko dla form rotacyzmu właściwego wymienionych w punkcie B:

a) brak poświadczenia wymowień w wieku 4—6 lat, co ze względu na rodzaj pacjentów poradni można uznać za mniej osobliwe,

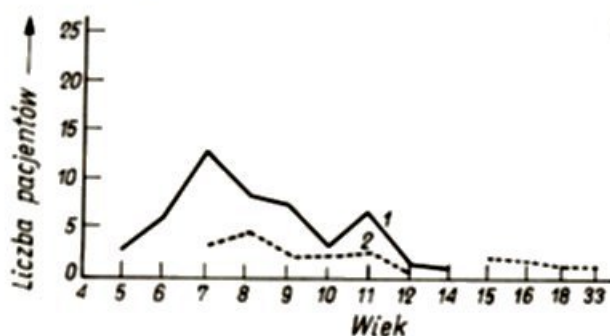
b) brak zdecydowanej przewagi liczbowej wypadków w latach 7—11 i przesunięcie częstości na lata późniejsze (można to unaocznic stosunkiem wypadków z lat 7—11 do wypadków z lat późniejszych, dla rotacyzmu właściwego wynosi on 14 : 7, dla  $r = l$  — 41 : 3,

c) względnie równy rozkład wypadków w poszczególnych latach, największe różnice wyrażają się stosunkiem 4 : 1, podczas gdy przy  $r = l$  — 13 : 1.

Podział na pararotacyzm i rotacyzm właściwy nie jest, jak się okazuje, czysto mechaniczny, sięga głębiej w istotę zjawiska. Przy rotacyzmie właściwym obserwujemy stosunkowo duży stopień fonetycznego wykształcenia mowy — są to formy prezentujące końcowy już etap rozwoju  $r$ , dlatego występują liczniej w latach późniejszych, gdy już formy pararotacyzmu są sporadyczne.

Przy opisie form wadliwej wymowy  $r$  przede wszystkim trzeba się zastanowić, w jakim stosunku pozostają one do okresu przyswajania przez dziecko systemu językowego. Jeśli ustalimy kolejne (oczywiście najważniejsze i typowe) stadia rozwoju  $r$  w warunkach normalnie kształtującej





się mowy dziecka i porównamy z nimi materiał wymówień patologicznych, uderzą nas niewątpliwe podobieństwa:

stadia rozwoju r:  $\emptyset$  -- j -- l -- r

formy wadliwe:  $\emptyset$  j l : rotacyzm właściwy

Przyjęte schematy wymagają kilku wyjaśnień. W procesie przyswajania języka przez dziecko nie muszą występować wszystkie stadia, a jeśli nawet występują, to przejścia między nimi są płynne; istnieją formy pograniczne bądź pod względem artykulacyjnym, np. *rl*, bądź pozycyjnym, np. *l* w nagłosie, *j* we wszystkich pozostałych pozycjach itp. Mogą też, wprawdzie rzadko, wystąpić jeszcze inne substytuty, jak *d*, *ł*, ale nie uzyskują one tej częstości użycia w wyrazach, co zastępcze głoski *j* i *l*. Prace z zakresu embriologii mowy poświadczają sporadyczne użycie pozostałych substytutów, monografie logopedyczne wymieniają je na równi z zasadniczymi substytutami. Nieodparcie narzuca się wniosek, że używanie i automatyzacja nietypowego substytutu jest zjawiskiem patologicznym nawet we wczesnym okresie rozwoju.

Ale najważniejszym pytaniem będzie pytanie o stosunek, w jakim pozostają formy rotacyzmu właściwego, tak pod wieloma względami odmienne od pozostałych, do okresu kształtowania się mowy. W gaworzeniu pojawiają się dość często, nie mają tam charakteru językowego, podobnie jak i inne produkcje głosowe, w okresie późniejszym wibracyjne dźwięki pojawiają się dość wcześnie, najczęściej w określonej pozycji, np. po głoskach wargowych, ale, co niezmiernie charakterystyczne, zanikają na rzecz substytucyjnego *l*. O takich tendencjach wspomina Ohnesorg i Gvozdiev<sup>12</sup>, tzn. autorzy, którzy szczególnie skrupulatnie badali fonetyczny rozwój mowy dziecka.

Formy pararotacyzmu w obu wypadkach identyczne najbardziej utrudniają porozumiewanie, gdyż powodują powstanie znacznej liczby homonimów: *jak*, *lak* (rak), *bój*, *ból* (bór). Naturalnie i kontekst, i sytuacja ułatwiają odbiorcy zrozumienie, o który z dwu wyrazów w danej wypowiedzi idzie, a trudności odczuwane są tylko przy pierwszym zetknięciu się z tak mówiącym osobnikiem, ale oczywiście zadaniem logopedy jest

<sup>12</sup> K. Ohnesorg: „Fonetická studie o dětské řeči”. Praga 1948, s. 39; Gvozdiev: „Voprosy izučenijsa detskoj řeči”. Moskwa 1961, — rozprawa: „Przyswajanie przez dziecko fonetyki ojczystego (rosyjskiego) języka”, s. 47—114.



usunięcie niewłaściwych głosek „zastępczych” i wyrobienie w dziecku zdolności należytego różnicowania głosek. Wyniki pracy są w różnych wypadkach różne. W wyniku usilnego eksperymentowania i spontanicznych ćwiczeń część dzieci osiąga stopniowo prawidłową wymowę, pozostała część, nieproporcjonalnie mniejsza, osiąga jedynie głoski bardziej zbliżone do *r* niż zastępczy dźwięk substytucyjny pararotacyzmu — są to formy rotacyzmu właściwego. Wyjątkowo tylko wymowa  $r = l$  pozostaje na zawsze — a to w wypadkach szczególnie „ciężkich”, np. zaburzeniach mowy przy obniżonej sprawności umysłowej.

Osoby cierpiące na zaburzenia mowy zwykle, gdy wadliwe artykulacje są już utrwalone, nie podejmują z własnej inicjatywy prób przyswajania właściwej artykulacji, czasem do dokonywania takich prób nakłaniają potrzeby pracy zawodowej. Powstają wówczas formy osobliwe (niejako sztuczne na tle pozostałych): język np. drga w płaszczyźnie poziomej tuż przy zębach (taki z wielu względów interesujący przykład opisuje B. Dylewski<sup>13</sup>), narządem wibrującym stają się policzki itp. Podobne artykulacje rozwijają się niekiedy przejściowo w trakcie ćwiczeń artykulacyjnych, gdy pacjent nie jest w stanie wykonać dokładnie poleceń prowadzącego ćwiczenia i impulsy kieruje kolejno do niewłaściwych narządów.

W okresie wypracowywania prawidłowej wymowy *r* pojawić się mogą również hiperpoprawne realizacje, odznaczające się zbyt doniosłym i przedłużonym drganiem przodu języka. Mogą one niekiedy utrwalić się i pozostać w mowie osobnika na zawsze, ale dla mówiących nie są one różne od prawidłowych, jeśli otoczenie w jakiś sposób nie zwróci na nie uwagi.

Czym w rzeczy samej są niewłaściwe sposoby wymowy jakiejś głoski, w tym i głoski *r*? Odpowiedź na to pytanie w świetle tego, co wyżej zostało powiedziane, nie jest trudna. Niewłaściwy sposób wymowy trzeba traktować jako niedokształcenie (formy pararotacyzmu) lub wykształcenie niewłaściwe mowy pod względem fonetycznym (formy rotacyzmu właściwego). Tak więc poszczególne artykulacje dadzą się z reguły umiejscowić w naturalnym procesie rozwoju mowy dziecka jako poszczególne jej stadia, w mniejszym lub większym stopniu utrwalone, przy czym szereg form, osiągających po 9—10 roku życia zdecydowaną przewagę, utrwali się tak samo jak głoska prawidłowa. Takie ujęcie akcentuję tym mocniej, że w wielu pracach logopedycznych ograniczono się do zestawiania obu zjawisk, dyslalii rzeczywistej i tzw. fizjologicznej na zasadzie statycznej, nie zwracając dostatecznej uwagi na dynamikę całego procesu. Przyczyn tego należy się dopatrywać w braku dostatecznej liczby szczegółowych opisów rozwoju mowy dzieci w wieku powyżej 3 lat, tj.

<sup>13</sup> por. „Uwagi o reraniu (Rhotacismus) z podaniem rzadkich, nieopisanych dotychczas przypadków tego cierpienia”. „Polski Przegląd Otolaryngologiczny” 7 (1930), s. 51—55.



okresu, gdy ostatecznie kształtują się ostatnie głoski „trudne”, które i najczęściej ulegają zaburzeniom.

Jeszcze na jedną cechę głosek wibracyjnych różnych od *r* przedniojęzykowego warto zwrócić uwagę. Jest nią zmieniające się bardziej niż przy *r* brzmienie tych głosek — niewątpliwie wynik asymilacyjnych ruchów narządów mowy; przy *r* języczkowym skala brzmień jest dość duża, od zaledwie percypowanej wibracji do dźwięków przypominających głoski *h* i *u*. Oto dodatkowe trudności, które występują przy klasyfikacji form wyłącznie na podstawie wrażenia słuchowego. Nic dziwnego, że niektórzy autorzy byli zmuszeni do wyodrębniania bardzo wygodnej skądinąd formy — „*r* niepewne, niestałe”. Różnorodne artykulacje, w szczególności odmienne, mogą być dostatecznie zbadane przy zastosowaniu eksperymentalnych metod fonetycznych — takie badania prowadzi w Zakładzie Fonetyki UW dr Irena Styczek.

Syntetycznego omówienia wymagają występujące razem z rotacyzmem wady mowy. Oto jakie zaburzenia i ile razy (oddzielnie i w kombinacji z innymi) występowały w materiale:

|  |           |   |
|--|-----------|---|
| 1. <i>š, ž, č, ř</i> . . . . .                                   | .67 razy, |   |
| 2. <i>s, z, c, 3</i> . . . . .                                   | .31 „     |   |
| 3. <i>k, g</i> . . . . .   | .15 „     |   |
| 4. jąkanie . . . . .   | 6 „       |   |
| 5. nazalizacja . . . . .   | 4 „       |   |
| 6. <i>ś, ź, ć, ś</i> . . . . .                                   | 4 „       | (same <i>ś, ź, ć, ś</i> — zab.<br>w 1 wypadku), |
| 7. ciężkie wypadki zaburzeń . . . . .                            | 3 „       |   |
| 8. cechy języka dzieciennego (upraszczanie<br>wyrazów) . . . . . | 1.        |   |

Uderza bezwzględna przewaga występujących z *r* wadliwych realizacji głosek szumiących. Zjawisko to niejednokrotnie podkreślano tłumaczono czysto fizjologicznie — i *r*, i głoski szumiące wymagają ruchu przodu języka do dźwięku, upośledzenie tego ruchu jest wspólną przyczyną wady. Tłumaczenie to wydaje się niedostateczne: zbliżonej artykulacji przodu języka wymaga również głoska *l* we wszystkich wypadkach prawidłowo wymawiana, przyczyn więc tego współwystępowania szukać trzeba na innej drodze.

Porównanie częstości notowanych zaburzeń sugeruje inne rozwiązanie. Taki sam układ liczbowy wadliwej wymowy poszczególnych głosek podają statystyki — najliczniej więc występują *š, ž, č, ř* nie dlatego, że fizjologicznie są do *r* zbliżone, ale że obiektywnie głoski te najczęściej ulegają zaburzeniom oraz że razem z *r* należą do rozwijających się najpóźniej u dzieci.

Opisany materiał upoważnia do sformułowania następujących wnios-



ków ogólnych, mogących mieć zastosowanie do wszystkich tego rodzaju zaburzeń:

1. Wadliwa wymowa r, podobnie jak i innych głosek, jest niedokształceniem lub wykształceniem niewłaściwym odpowiednich elementów systemu fonetycznego. Takie ujęcie zmusza do traktowania poszczególnych form wymowy wadliwej jako określonych stadiów rozwojowych.

2. Tendencją podstawową przejawiającą się zawsze jest dążenie do opanowania właściwej artykulacji — różnorodne formy wadliwe są wynikiem indywidualnego, a nie dającego pozytywnych rezultatów eksperymentowania.

3. Spontaniczny proces opanowywania artykulacji i proces ćwiczeń artykulacyjnych mają wiele cech wspólnych. Stwierdzenie podobieństw i różnic między nimi może poważnie wzbogacić dotychczasową metodykę pracy w dyslalii (zaburzeniach mowy).



## Z MOJEGO NOTATNIKA

Mniej więcej w połowie stycznia bieżącego roku „Ibis”, autor stałej, cotygodniowej rubryki językowej w „Życiu Warszawy”, zatytułowanej „Byki i byczki”, wywołał mini-rewolucję w pisowni. Z jego bowiem inicjatywy „Życie Warszawy”, a także sporo innych pism warszawskich i prowincjonalnych, zaczęło, wbrew obowiązującym przepisom ortograficznym, pisać nazwy wyrobów przemysłowych wielką literą początkową, ujmując je jednocześnie w cudzysłów. A zatem: „Warszawa” (samochód) zamiast: warszawa, „Opal” (telewizor) zamiast: opal, „Komar” (motorower) zamiast: komar, „Sporty” (papierosy) zamiast: sporty itd. Uzasadnieniem tej mini-reformy ortograficznej ma być, jak się soczyście wyraża (zkm) w „Głosie Pracy”, „walka z bzdurą i dezinformacją. Takie bowiem zwroty, jak np. *żubr potracił żuka* są dezinformujące i wzbudzają wesołość”. Zaczęły też nadchodzić do redakcji „Życia Warszawy” listy aprobujące tę samowolną zmianę przepisu ortograficznego, a nawet domagające się dalej idących zmian pisowni (pisania nazwisk obcych fonetycznie). „Ibis” twierdzi, że w korespondencji, która napłynęła w tej sprawie, znalazł się tylko jeden głos przeciw.

Tak się przedstawia sytuacja w chwili, gdy piszę te słowa, tzn. z początkiem lutego br. Przypomina ona pod wielu względami ortograficzną burzę w szklance wody sprzed sześciu lat, kiedy to wysuwano bardzo daleko idące propozycje nie tylko zmian poszczególnych przepisów pisowni, ale i całego polskiego systemu ortograficznego. Wówczas jednak po jakimś czasie fale namiętnych dyskusji opadły i w gruncie rzeczy wszystko pozostało po dawnemu. Obecnie zaś mamy do czynienia nie z propozycją zmiany pisowni, lecz z faktyczną jej zmianą, która może pociągnąć za sobą ujemne skutki społeczne choćby dlatego, że rozchwieje i tak niezadowolającą pewnością ortograficzną młodzieży szkolnej (podręcznik każe pisać, że „osa wyprzedziła komara”, a w gazecie drukują, że, «Osa» wyprzedziła «Komara»...) i znacznie utrudni nauczycielom języka polskiego nauczanie pisowni. Co prawda na razie chodzi tylko o jeden przepis ortograficzny, ale kto może przewidzieć, czy np. za miesiąc któryś z dzienników nie zacznie pisać fonetycznie nazwisk obcojęzycznych, a inny, dajmy na to, nie uzna za zbyt cenne rozróżniania *h* i *ch*. Gdyby doszło do tego, zapanowałby w pisowni zupełny chaos, którego sobie chyba nie życzą nawet najzagorzalsi zwolennicy jej reformy. Trzeba więc temu zapobiec.



Zacznijmy od strony formalno-prawnej zagadnienia. Przepisy ortograficzne nie są oczywiście aktami prawnymi. Te bowiem są ustanawiane przez kompetentne w danym zakresie organy państwa (np. ustawę konstytucyjną może uchwalić i zmienić tylko Sejm), nie ma zaś w gruncie rzeczy takiego organu, któremu by państwo oficjalnie powierzyło ustanawianie i zmienianie norm ortograficznych (por. artykuł Jana Tokarskiego: „O pisowni polskiej” w nr 10/215 „Poradnika Językowego” z r. 1963). Nie można jednak wyciągnąć stąd wniosku, że ta sprawa nie jest w ogóle uregulowana. Już bowiem w latach międzywojennych dwukrotnie ustalano pisownię. Pierwszy raz w r. 1918, gdy zjazd przedstawicieli towarzystw naukowych z Polską Akademią Umiejętności na czele i ówczesnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zastąpił dotychczasowe dwa systemy ortograficzne (PAU, stosowany głównie w b. zaborze austriackim, i prof. Kryńskiego, mający zwolenników przede wszystkim w b. zaborze rosyjskim) jednym, obowiązującym w całej Polsce. Drugi raz w 18 lat później, gdy Komitet Ortograficzny PAU, złożony z przedstawicieli nauki, literatury, prasy, wydawnictw i władz szkolnych, zreformował pisownię z r. 1918; uchwały komitetu zatwierdziło Ministerstwo WRiOP, po czym zostały ogłoszone w wyd. XI „Pisowni polskiej” PAU. Jak widzimy, w obu wypadkach ustalały normy ortograficzne powołane w tym celu ciała zbiorowe, przy czym ujednoczenie pisowni w r. 1918 nie uzyskało niczyjej formalnej aprobaty, natomiast reformę ortografii w r. 1936 zatwierdziło i nadało jej moc ogólnie obowiązującą Ministerstwo WRiOP, którego kompetencji w tej sprawie nikt nie zakwestionował.

Po wojnie początkowo nie było ściśle określone, kto jest uprawniony do ustalania obowiązujących norm pisowni. W praktyce rzecz miała się tak, że w latach 1945—1956 obowiązywały w szkołach, a nieoficjalnie były uznawane we wszystkich dziedzinach życia publicznego, przepisy zawarte w kolejnych wydaniach „Zasad pisowni polskiej i interpunkcji” S. Jodłowskiego i W. Taszyckiego, zatwierdzanych przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego. Zmianę przyniósł rok 1956, w którym Komitet Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk podjął uchwałę wprowadzającą w pisowni pewne zmiany, które zresztą nie przekraczały granic zakreślonych zasadami z r. 1936. Do tych zmian, ogłoszonych w wyd. XII „Pisowni polskiej” PAN, dostosowali się Jodłowski i Taszycki w następnych wydaniach (XIII—XVI) swoich „Zasad pisowni” (i w wyd. V—VII „Słownika ortograficznego”). Wydania te, podobnie jak poprzednie, uzyskały aprobatę Ministerstwa Oświaty, które w ten sposób pośrednio zatwierdziło normy pisowni ustalone przez Komitet Językoznawstwa PAN i uznało wyd. XII „Pisowni polskiej” PAN za oficjalnie obowiązujący zbiór przepisów ortograficznych.

Ścisłe określenie tego, kto jest władny ustalać i zmieniać pisownię, nastąpiło w r. 1961, kiedy Ministerstwo Oświaty zaproponowało Polskiej



Akademii Nauk pewnego rodzaju dualizm w tej dziedzinie. Według tego projektu, przyjętego przez PAN, ona właśnie ma ustalać i ogłaszać przepisy ortograficzne, ale w pracy nad nimi współdziałają przedstawiciele Ministerstwa Oświaty. W praktyce opracowuje zasady pisowni Komisja Kultury Języka PAN wspólnie z delegatami Ministerstwa Oświaty, a uzyskują one moc obowiązującą po zatwierdzeniu i przez PAN, i przez Ministerstwo. Opracowana przez Komisję Kultury Języka PAN i zatwierdzona przez Sekretariat Naukowy PAN w r. 1962 reforma ortografii właśnie dlatego nie weszła w życie, że nie aprobowano jej Ministerstwo Oświaty.

W świetle tych wyjaśnień jest chyba oczywiste, że zmiana jednego przepisu pisowni przez niektóre gazety i czasopisma stanowi akt zwyczajnej samowoli i że ogół piszących powinien w dalszym ciągu uznawać za obowiązujący ten przepis w brzmieniu, w jakim go podają bądź „Zasady pisowni” (wyd. XVI, s. 121), bądź „Ortografia polska” TMJP (s. 38).

Wydaje mi się jednak, że jeśli przepis ortograficzny nasuwa tyle wątpliwości i wywołuje tyle protestów, to musi istnieć przyczyna, którą trzeba znaleźć i może nawet zastanowić się nad możliwością zmiany kwestionowanej zasady. Sądzę też, iż dobrze będzie, jeżeli się tym zajmie właśnie ktoś nie powiązany formalnie z kołami polskich językoznawców, a więc nie narażony na zarzut występowania *pro domo sua*, a dysponujący pewnym zasobem wiedzy i doświadczenia w dziedzinie zagadnień pisowni.

Zacznę od przypomnienia, że przepis, o którym mowa, brzmi: „Małą literą pisze się (...) nazwy wytworów przemysłowych, takich jak: napoje, papierosy, lekarstwa, materiały odzieżowe, artykuły spożywcze, samochody, rowery, zegarki, aparaty radiowe i telewizyjne<sup>1</sup>, np.: *burgund, koniak, tokaj, węgryzn, rum jamajka, kuba, hawana, górnik, grunwald, mocne, nysa, giewont, cyma, omega, jawa, fiat, ford, warszawa, mercedes, meserszmit, belweder, góral, tatry*”. („Zasady pisowni”, wyd. XVI, s. 121; „Ortografia polska” podaje na s. 38 dwa oddzielne przepisy, pierwszy dotyczący nazw napojów, drugi — wytworów przemysłowych).

Przytoczony przepis ma dość oryginalną historię. Zasady pisowni, ustalone w r. 1956 przez Komitet Językoznawczy PAN, pominęły sprawę pisowni nazw wytworów przemysłu. W wyd. XII „Pisowni polskiej” PAN jest tylko przepis (s. 34) ustalający, że pisze się małą literą „nazwy napojów, np. *winiak, tokaj*”. Istniała więc w przepisach luka, którą trzeba było jakoś wypełnić: nakazywały to potrzeby życia. Z natury rzeczy załatwienie tego przypadło w udziale Jodłowskiemu i Taszyckiemu jako autorom podręczników pisowni przeznaczonych dla szerokich kół użytkowników języka i wydawanych w krótkich odstępach czasu. Zastosowali oni, początkowo w formie zalecenia („Analogicznie [jak nazwy napojów — przyp. moje] należałoby też pisać marki samochodów, zegarków, motocykli, sa-

<sup>1</sup> To wyliczenie należy oczywiście traktować jako przykładowe, z pewnością bowiem przepis dotyczy także nazw innych wytworów przemysłu: kosmetyków, sztucznych tworzyw, motocykli, pojazdów kosmicznych itp.



molotów itp.”), później — obowiązującej zasady, rozszerzającą interpretację przytoczonego przepisu „Pisowni polskiej” PAN. Tę interpretację uznały za właściwą i Ministerstwo Oświaty, udzielając aprobaty odpowiednim wydaniom „Zasad pisowni”, i Komitet Językoznawczy PAN (por. uchwałę z 24 marca 1962 r.), nie można więc jej kwestionować z formalno-prawnego punktu widzenia.

Nieco inaczej przedstawia się meritum sprawy. Trzeba oczywiście przyznać, że przytoczona zasada jest ujęta jasno i zrozumiale, dokładnie określa kategorię znaczeniową objętych nią wyrazów, przeciwstawia się występującej w ostatnich latach skłonności do nadużywania wielkich liter (por. A. Sieczkowskiego „Za dużo wielkich liter” w nr. 6 „Poradnika Językowego” z 1960 r.). Wydaje się jednak, że twórcy tego przepisu, redagując go, nie zwrócili uwagi na pewne dość istotne momenty.

Po pierwsze, omawiany przepis obejmuje zarówno rzeczowniki, które od dawna są odczuwane przez ogół piszących jako pospolite, jak i takie, co do których poczucie językowe się waha, czy je zaliczyć do imion własnych, czy do pospolitych. Przykładami nazw pierwszego rodzaju są np. *burgund*, *koniak*, *nektar*, *graham*, *mazurek*, *elana*, *gabardyna*. Nazwy drugiego rodzaju to np. *pliska* (gatunek koniaku), *buwi* (pasta do obuwia), *ortoderma* (kosmetyk), *grunwald* (papieros), *sylwia* (aparat tranzystorowy), *opal* (telewizor), *boeing* (samolot), *komar* (motorower), *warszawa* (samochód osobowy), *jelcz* (autobus), *żubr* (samochód ciężarowy). Pośrednie miejsce zajmują nazwy lekarstw. Prawie każdy niemal odruchowo napisze: „Łamało mnie w kościach, więc zażyłem *polopirynę*”, ale wiele osób zastanowi się, czy napisać wielką, czy małą literą nazwę jakiegoś nie tak pospolitego leku, np. *tardylu*.

Przyczyną tych wahań jest, jak sądzę, okoliczność, że wyrazy drugiego rodzaju to marki fabryczne, a więc nazwy oficjalne, zatwierdzone urzędowo, chronione prawnie, i dlatego w poczuciu językowym raczej kojarzące się z imionami własnymi.

Po drugie, przepis narusza silnie zakorzenioną tradycję pisania tego rodzaju nazw wielką literą. Tradycję tę podtrzymywał i podtrzymuje przemysł. Wystarczy przejrzeć np. kwartalnik „Opinia”, poświęcony m.in. ocenie różnych wyrobów przemysłowych, by się upewnić, że tylko tak są tam pisane ich nazwy. Serwis „Aldona”, pasta do podłóg „Buwi”, pierniki „Anyżowe”, miód „Klasztorny”, wino „Promontor”, proszek do prania „Ixi”, puder w kremie „Dermacol”, krem do golenia „Kahira”, szminka „Filoderma”, kuchenka gazowa „Krafo III”, ba, nawet tkanina meblowa „Epinglé” — oto wybór przykładów zaczerpniętych z jednego tylko numeru. Wystarczy też przewertować instrukcje obsługi różnych aparatów, ulotki dołączane do niektórych leków i kosmetyków, ogłoszenia w prasie, by się przekonać o tym samym.

Po trzecie, jeżeli np. czytamy o „tragicznych skutkach zderzenia się osy z komarem” albo o tym, że „nie zdeptany sport spowodował groźny



pożar lasu”, to rzeczywiście mamy pewne, zwykle zresztą krótkotrwałe, trudności percepcyjne, których przyczynę upatrywałbym w tym, że *ko-mar*, *osa*, *sport* to w zasadzie wyrazy jednoznaczne, a więc ich postać pisana kojarzy się z podstawowym desygnatem i dopiero kontekst pozwala się zorientować, że w danym wypadku chodzi o inny. Tego rodzaju wypowiedzi pisemne mogą być więc niekiedy nie dość komunikatywne, choć z pewnością nie do tego stopnia, jak twierdzą „Ibis” i jego zwolennicy. W imię bezstronności trzeba też przyznać, że nieraz zachodzi wręcz przeciwne zjawisko: właśnie pisanie nazw wytworów przemysłu małymi literami ułatwia ich odróżnienie od nazw lub nazwisk producentów, lub od innych jednobrzmiących imion własnych (*ford* i *Ford*, *warszawa* i *Warszawa* itd.).

Czas wyciągnąć wnioski. Wydaje mi się, że argumenty rzeczowe, które przytoczyłem, nie są same przez się dostatecznie ważne, by z nich wynikała konieczność zmiany atakowanego przepisu. Trzeba jednak mieć na uwadze także głos opinii publicznej, która raczej wypowiada się przeciw dotychczasowej pisowni nazw wytworów przemysłu. Tego samego zdania jest też wielu redaktorów i korektorów wydawnictw nieperiodycznych. Czy to nie powinno przeważać szali? Czy nie należałoby wyodrębnić spośród nazw wytworów przemysłu podgrupy obejmującej te nazwy, które są jednocześnie markami fabrycznymi, i zalecić ich pisanie albo wielką literą i w cudzysłowie, co by najbardziej odpowiadało tradycji, (papierosy „Carmen”, krem „Ortoderma”, samochód „Syrena”, koniak „Pliska” itd.), albo też, jeżeli chcemy uniknąć mnożenia majuskuł, małą literą i w cudzysłowie („carmen”, „ortoderma”, „syrena”, „pliska” itd.). Możliwe jest też trzecie rozwiązanie: zalecić pisanie nazw będących markami fabrycznymi wielką literą i w cudzysłowie, jeżeli wynika z kontekstu, że chodzi właśnie o tę markę fabryczną (np.: „Wygrałem w PKO samochód marki «Syrena»”), a małą literą i w cudzysłowie, jeżeli te nazwy występują jako wyrazy pospolite (np.: „Zapaliłem «górnika»”, „Napiliśmy się «mistelli»”). Sądzę, że każde z proponowanych rozwiązań, nie będąc odstępstwem od zasad zawartych w wyd. XII „Pisowni polskiej” PAN, byłoby w praktyce ortograficznej lepsze od obowiązującego obecnie (raczej już tylko formalnie) przepisu.

Przy sposobności należałoby jeszcze uzupełnić przepis normujący pisownię nazw wytworów przemysłu dodatkowym ustaleniem, dotyczącym nazw, które są skrótami, np.: SHL (motocykl), DKW (samochód), Tu-104 (samolot odrzutowy). Dawno już się przyjął zwyczaj pisania takich nazw w wyżej podany sposób (chyba że je przekształcamy w normalne wyrazy, np.: *dekawka*, *eshaelka* itp.). Sądzę, że należałoby to sankcjonować.

Witold Kochański



Witold Doroszewski

## PARĘ UWAG O CIEKAWEJ KSIĄŻCE

Jako 2. pozycja w serii „Prac Mazowieckiego Ośrodka Badań Naukowych” publikowanej przez Mazowieckie Towarzystwo Kultury ukazała się książka pt. „Pułusk. Studia i materiały z dziejów miasta i regionu” (Książka i Wiedza. Warszawa 1969, stron 346).

W *Słowie wstępnym* podpisanym przez Redakcję (w której skład wchodzi J. Antoniewicz, A. Gieysztor i St. Kotarski) czytamy: „Pośród miast mazowieckich nadnarwiański Pułusk od dawna wywołuje szczególną sympatię Polaków. Jego nazwa mimo dziesięciu co najmniej wieków istnienia brzmi nadal młodością licznych rzesz studenckich, które stąd wychodziły na całą dawną Rzeczpospolitą; dziewiętnastowieczna gromada uczniów pułuskich w swoim klasycznym „niebieskim mundurku” weszła do podstawowych lektur szkolnych o kraju lat dzieciennych. (...) Nazwa Pułuska brzmi też inaczej: zbrojnie, ale i męczeńsko. Jest pełna zgiełku bitew staczanych u przeprawy, której walor wojskowy doceniali liczni wodzowie z Napoleonem na czele. Jest też pełna cierpień ludzkości miasta i okolicy, zniszczeń dobytku, pożarów i zaraz. Jest też pełna wysiłków i walki narodu o wyzwolenie, jak to w całej swej tragicznej i bohaterkiej wymowie zabrzmiało w próbie jakości ludzi tego miasta w drugiej wojnie światowej i w czasie okupacji. Nazwa Pułuska zapowiada także Polakom ocalony tu, troskliwie przechowywany i zapobiegliwie pomnażany dorobek kulturalny, artystyczny i gospodarczy, który wraz z ludźmi i przyrodą składa się na oblicze miasta, pełne uroku i dumy z tego, co stanowi jego niepowtarzalne mienie, oblicze nie bez serdecznej troski o dzień dzisiejszy i nie bez nadziei piękniejszego jutra. Rzadkiego to wdzięku krajobraz miejski, wtopiony w łągi nad Narwią, z rozległym horyzontem zakreślonym na lewym brzegu Puszcą Białą a wysokim tarasem na brzegu prawym. (...) Prężności kulturalnej Pułuska chciałby dowieść niniejszy tom studiów i materiałów”.

Zacytowane zdania składają się z rytmicznych, czasem symetrycznie odpowiadających sobie członów (rytm prozy jest jednym z ważnych „testów” jej wartości stylistycznej). Im bogatsza jest nasza wiedza o Pułusku, tym wielostronniejsze, tym rozmaitsze są nasze reakcje na nazwę



*Pułtusk*, im bliższy jest nam desygnat, tym więcej skojarzeń wywołuje w nas jego nazwa, niezależnie od tego, czy jest ona imieniem własnym czy rzeczownikiem pospolitym. *Pułtusk* jest nazwą miasta mającą, jak określają logicy, jednostkowy desygnat. Jednostkowość desygnatu nazwy nie przeszkadza temu, że się zastanawiamy nad jej treścią; tą treścią jest bowiem odruch warunkowy, który wywołuje ta nazwa jako bodziec działający na tego, kto jest jej odbiorcą jako słuchacz lub czytelnik. Jesteśmy wdzięczni Redakcji książki pt. „*Pułtusk*” za informacje, które są w niej zawarte, a które mają na celu kształtowanie naszej postawy wobec desygnatu tej nazwy, pobudzanie do pracy dla dobra tego miasta. Tak się zbiegają w praktyce zainteresowania historyka z zainteresowaniami językoznawcy, semantyka jest bowiem nauką pragmatyczną, a nie niezabawną grą towarzyską, polegającą na układaniu i rozszyfrowywaniu („dekodowaniu”) *ad hoc* tworzonych „kodów” terminologicznych. Towarzystwo Kultury Języka służy językoznawstwu jako nauce pragmatycznej i to sprawia, że się czujemy solidarni z taką pracą, jaką *hic et nunc* wykonywa Towarzystwo Kultury Mazowieckiej, któremu gratulujemy pięknej i pozytywnej publikacji.



Wydział I Nauk Społecznych  
PAN w Warszawie

---

W ciągu dwudziestoletniej pracy nad Słownikiem Języka Polskiego gruntowało się we mnie coraz mocniej przekonanie, któremu dawałem wyraz w publikacjach książkowych, artykułach i referatach, że językoznawstwo ujmowane od strony teoretycznej, od strony do niedawna prawie nie uwzględnianej poznawczej funkcji języka powinno być traktowane jako nauka nie tylko historyczno-porównawcza, ale i społeczno-pedagogiczna, ma ono bowiem do czynienia we wszystkich swoich działach z pojęciem norm, wzorców społecznych; zrealizowanie celów społeczno-pedagogicznych nie jest czymś ubocznym w stosunku do zadań ogólnych językoznawstwa, ale stanowi jedno z jego zadań podstawowych. Indywidualne myślenie językowe jest fragmentem procesu społecznego.

Praca nad językiem, wytworem doświadczenia i narzędziem myśli jest w samej swej istocie pracą nad kulturą umysłową mówiących nim ludzi. Tę myśl wyrażają między innymi słowa Jana Śniadeckiego stanowiące motto naszego Słownika: „Wydoskonalenie narodowego języka wiele pomaga do powszechnego oświecenia”. Realizowaniu tej myśli służy swą pracą Towarzystwo Kultury Języka (nawiązujące do tradycji przedwojennego Towarzystwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka). Założone niecałe trzy lata temu Towarzystwo ma obecnie osiem oddziałów terenowych: w Olsztynie, Warszawie, Białymstoku, Płocku, Łomży, Kielcach, Sokołowie i Węgrowie, w fazie organizacyjnej jest tworzenie kilku innych oddziałów.

Praca w oddziałach terenowych rozwija się pomyślnie, zagadnienia językowe budzą żywe zainteresowanie i chęć współpracy ze strony nauczycieli, a za ich pośrednictwem niekiedy nawet uczniowie bywają wciągani do zbierania wyrazów używanych w gwarze okolicy przez nich zamieszkałej i dobrze się z tej pracy wywiązują. Zdolność trafnej orientacji w świecie wyrazów jest równie naturalną właściwością ludzkiego umysłu jak zdolność orientacji w świecie rzeczy, nauka zaś spełnia swoje zadanie nie wtedy, gdy jej adepci izolują się w kapliczkach, ale wtedy, gdy służy sprawom integrowania myśli teoretycznej z dążeniami społeczno-oświatowymi.

Prezes Towarzystwa Kultury Języka  
*Witold Doroszewski*



## SPRAWOZDANIE

## z działalności Towarzystwa Kultury Języka za rok 1968

Do dnia 31 XII 1968 roku zostały zorganizowane oddziały terenowe w Białymstoku, Olsztynie, Łomży, Warszawie, Kielcach, Płocku, Sokolowie Podlaskim i Węgrowie. W poczet członków Towarzystwa Kultury Języka przyjęto dotychczas 635 osób, w tym: 262 w Warszawie, 105 w Olsztynie, 89 w Łomży, 52 w Kielcach, 50 w Płocku, 32 w Białymstoku, 25 w Sokolowie Podlaskim, 20 w Węgrowie. Dla członków i sympatyków Towarzystwa wygłoszono 51 odczytów. Prelegenci nie otrzymali żadnego wynagrodzenia. Była to ich praca społeczna. W spotkaniach z językoznawcami wzięło udział ponad 4000 osób. Odczyty wygłaszali:

- |                             |   |
|-----------------------------|---|
| prof. dr Witold Doroszewski | — <i>Mowa a pismo.</i><br><i>Piękny styl a zdrowy rozsądek.</i><br><i>Gwara a język literacki.</i><br><i>Co to jest integracja języka.</i>  |
| prof. dr Stanisław Skorupka | — <i>Kryteria poprawności związków frazeologicznych.</i><br><i>Normy w zakresie połączeń wyrazowych.</i><br><i>Rola pisarza w historii języka.</i><br><i>Jak powstają słowniki.</i> |
| doc. dr Halina Kurkowska    | — <i>O pojęciu normy językowej.</i>   |
| doc. dr Mieczysław Szymczak | — <i>Odmiana nazwisk obcych w języku polskim.</i><br><i>Zagadnienie kultury i poprawności językowej w pracy nauczyciela.</i>  |
| dr Danuta Buttler           | — <i>Innowacje składniowe współczesnej polszczyzny a ich ocena normatywna.</i><br><i>Polski dowcip językowy.</i><br><i>Tendencje w składni współczesnego języka polskiego.</i>      |
| dr Maria Chmura-Klekotowa   | — <i>O rozwoju mowy dzieci.</i>   |
| dr Barbara Falińska         | — <i>Cechy gwarowe w fonetyce i słownictwie inteligencji.</i><br><i>Poznawanie języka regionu.</i>  |
| mgr Maria Głazek            | — <i>Kształtowanie poprawności językowej uczniów.</i>   |
| mgr Irena Halicka           | — <i>Wyrazy obce w języku polskim.</i>  |
| dr Michał Jaworski          | — <i>Metody nauczania składni języka polskiego.</i>   |
| mgr Anna Kowalska           | — <i>O badaniu słownictwa gwar mazowieckich.</i>  |
| dr Władysław Kupiszewski    | — <i>Tytuły i nazwy zawodowe kobiet.</i>  |
| mgr Aniela Malanowska       | — <i>Historia narodu polskiego w świetle ojczystego języka.</i>   |
| mgr Stefan Myszczyński      | — <i>Właściwe i przenośne znaczenie wyrazów.</i>  |
| dr Henryka Perzowa          | — <i>Język Jana Kochanowskiego.</i>   |
| mgr Jan Pilich              | — <i>Kształcenie sprawności językowej w związku z ćwiczeniami słownikowymi, frazeologicznymi i gramatycznymi.</i>   |



- dr Wanda Pomianowska — *Miejsce języka polskiego w rodzinie języków słowiańskich.*
- dr Jadwiga Puzynina — *Charakterystyka języka polskiego po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku.*
- dr Halina Rybicka — *O archaizmach w słowniku współczesnego języka polskiego.*
- mgr Maria Sankowska — *Opracowanie wybranych zagadnień ze słowotwórstwa na podstawie pracy prof. Witolda Doroszewskiego „O kulturę słowa”.*
- dr Roxana Sinielnikoff — *O języku współczesnej poezji polskiej.*
- mgr Maria Szwecow — *O języku Stanisława Witkiewicza.*
- mgr Alojzy Zdaniukiewicz — *Przyczyny rozbieżności między mową a pismem.*
- dr Helena Zduńska — *Historia form czasownika a normy poprawnościowe.*

Ze względu na specjalne zainteresowanie społeczeństwa niektórymi tematami odczyty im poświęcone były wygłaszane po parę razy w różnych miastach.

Towarzystwo Kultury Języka współpracowało z władzami oświatowymi, ośrodkami metodycznymi K.O.S., instytucjami wydawniczymi i Telewizją Warszawską. Opracowano projekt serii wydawniczej poświęconej popularyzacji wiedzy o języku. Członkowie TKJ z Łomży, Płocka, Sokołowa Podlaskiego i Węgrowsa zajmowali się zbieraniem słownictwa ludowego do ATLASU GWAR MAZOWIECKO-PODLASKICH. W Płocku zorganizowano archiwum nagrań gwarowych. W Olsztynie zorganizowano koło kultury języka, które opracowuje projekt programu dla szkolnych kół kultury języka. Prezes Oddziału Kieleckiego TKJ prowadzi poradnictwo językowe. Z okazji 50-lecia niepodległości Polski we wszystkich oddziałach terenowych zostały wygłoszone odczyty o języku polskim po 1918 roku.

Towarzystwo Kultury Języka dotychczas nie otrzymało żadnej dotacji. Wszystkie wydatki bieżące pokrywane były ze składek członkowskich. Saldo w dniu 31 XII 1968 roku wynosiło 1956,50 zł.

Towarzystwo Kultury Języka było kontrolowane przez Urząd Spraw Wewnętrznych w Olsztynie.

## SEKRETARZ

(mgr Alojzy Zdaniukiewicz)

## PREZES

(prof. dr Witold Doroszewski)



Janina Dembowska, Zofia Jakubowska: *Nauczanie języka polskiego w klasach V—VIII szkoły podstawowej*. PZWS, Warszawa 1968, s. 190.

W ostatnich latach ukazało się sporo pozycji poświęconych nauczaniu języka polskiego w szkole podstawowej i średniej, w tym również metodyce nauczania gramatyki, ortografii i interpunkcji, choć ten właśnie krąg zagadnień jest ciągle jeszcze zbyt mało oświetlany. Wystarczy wskazać na zbiory artykułów metodycznych z serii „Z moich doświadczeń” czy dwie bardzo cenne książki J. Tokarskiego („Gramatyka w szkole. Podstawowe zagadnienie metodyki”. Warszawa 1966, PZWS; „Z pogranicza metodyki i językoznawstwa”. Warszawa 1967, PZWS). Ten niewątpliwie wzrost ilościowy jest zjawiskiem pocieszającym, ale — bądźmy szczerzy — wiele tu jeszcze pozostało do zrobienia. Narzekania na poziom nauczania w szkole, narzekania na poziom kandydatów na studia wyższe są najlepszym tego dowodem. Dlatego z uwagą należy odnotować każdą pozycję, która może wzbogacić i ulepszyć warsztat metodyczny nauczyciela, a przez to wpłynąć na wyniki nauczania w szkole. Nie trzeba chyba przypominać, jakie to ma ogromne znaczenie ogólnospołeczne.

Prezentujemy dzisiaj książkę J. Dembowskiej i Z. Jakubowskiej „Nauczanie języka polskiego w klasach V—VIII szkoły podstawowej”.

Składa się ona z czterech części: 1. *Zagadnienia ogólnometodyczne*. 2. *Nauka o literaturze, czytelnictwo, technika pracy umysłowej oraz ćwiczenia w mówieniu i pisaniu*. 3. *Nauczanie gramatyki*. 4. *Nauczanie ortografii i interpunkcji*. Przedmiotem naszych rozważań będą jedynie trzy części: pierwsza, trzecia i czwarta, a więc obok problemów ogólnometodycznych głównie materiał dotyczący nauki o języku w szkole. Autorka tych rozdziałów, Zofia Jakubowska, ma ogromne doświadczenie pedagogiczne w związku z wieloletnią pracą w szkole i w Zakładzie Metodyki Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Książka adresowana jest głównie do nauczycieli szkoły podstawowej, ale powinna również znaleźć się w bibliografii obowiązującej studentów na ćwiczeniach z metodyki nauczania języka polskiego.

Część pierwsza zawiera krótkie omówienie programu i podręczników języka polskiego, uwagi o pracy nauczyciela polonisty, rozważania na temat zadań metodyki nauczania języka polskiego i celów nauczania języka polskiego w ośmioklasowej szkole podstawowej.

Zasadniczą dla przedmiotu i zadań metodyki alternatywę: normatywność czy teoria rozwiązują autorki zgodnie ze współczesnym stanem wiedzy, opowiadając się za łączeniem teorii i praktyki. „Charakter normatywny metodyki, wynikający z jej ścisłego związku z dydaktyką ogólną i z długoletnimi doświadczeniami w nauczaniu poszczególnych przedmiotów, nie ogranicza jej działalności na polu naukowo-badawczym. (...) Metodyka nie może rezygnować — na rzecz wąsko pojętego praktycyzmu — z badań naukowych, z obserwacji, eksperymentu itp., toteż niezmiernie ważne jest, aby każdy nauczyciel, a więc i polonista, posiadał gruntowne wykształcenie dydaktyczne i stale w tej dziedzinie się doskonalił, tak by mógł uczestniczyć w pracach prowadzonych i kierowanych przez pedagogów-naukowców” (s. 4). I w innym



miejscu: „Sam cel praktyczny nauki języka ojczystego, poprawnościowe nawyki, choć nieodzowne, nie mogą wystarczyć dzisiejszej szkole. Nie o to tylko powinno chodzić nauczycielowi poloniście. Sprawność językowa naszych wychowanków musi wypływać ze świadomości, z rozumnej troski o mowę ojczystą. Najlepszą podstawą do rozstrzygnięcia szczegółowych pytań, czy tak, czy inaczej trzeba mówić i pisać, a przede wszystkim do samego rozsądnego stawiania takich pytań — jest należyte pojmowanie zjawisk składających się na pojęcie języka w ogóle, są wiadomości o budowie języka” (s. 7). Autorki akcentują również te wszystkie bardzo cenne wartości, które można przekazać uczniowi, uświadamiając mu jego własny język: „Nauka o budowie języka ojczystego posiada wielkie walory wychowawcze i kształcące przede wszystkim ze względu na swe znaczenie w życiu społecznym, żaden bowiem przedmiot szkolny nie jest tak bezpośrednio związany z codziennym życiem społeczeństwa, z jego kulturą i historią”. (s. 7).

Część III (*Nauczanie gramatyki*) otwierają także rozważania natury ogólnej. Jakie są zadania i metody nauczania gramatyki? Książka zajmuje się nauczaniem języka polskiego w klasach V—VIII szkoły podstawowej, nic więc dziwnego, że Z. Jakubowska tyle uwagi poświęca normatywnym celom nauczania gramatyki, które muszą być na tym etapie rozwoju umysłowego ucznia uznane za podstawowe. Kształcenie umiejętności sprawnego władania językiem ojczystym, praca nad poprawnością językową ucznia — to główne zadanie nauczyciela w szkole podstawowej, która — pamiętajmy o tym — dla wielu jest jedynym etapem edukacji. Nie znaczy to oczywiście, że do tego się autorka ogranicza. Koncepcja suchej normatywności w nauczaniu gramatyki, która wyrządziła tyle szkód odczuwanych jeszcze dzisiaj, należy już, na szczęście, do bezpowrotnej przeszłości. Toteż Z. Jakubowska zwraca uwagę i na inne korzyści wypływające ze znajomości gramatyki, np. na lekcjach języka obcego, a przede wszystkim na „specjalne wartości nauki o budowie języka ojczystego”. Wypływają one — zdaniem autorki — z zasadniczej odmienności tej gałęzi wiedzy od innych przedmiotów nauczania, odmienności uwarunkowanej tym, że język jest faktem społecznym, a bezpośrednim tego rezultatem jest to, że dziecko posługuje się prawie pełnym systemem językowym już w chwili rozpoczęcia nauki w szkole. To doświadczenie osobiste uczniów powinien nauczyciel w sposób najwłaściwszy wykorzystać. Owe „specjalne wartości” widzi Z. Jakubowska w wielkich walorach wychowawczych i kształcących, jakie ma nauka o budowie języka ojczystego dzięki bogactwu materiału przykładowego i znaczeniu w życiu społecznym. Poza tym — mówi autorka — „na każdej prawie lekcji można kształcić indukcyjne i dedukcyjne myślenie uczniów, uczyć samodzielnego formułowania uogólnień i wyciągania wniosków, a nawet układania definicji” (s. 110).

Aby wszystko to osiągnąć na lekcji, aby w sposób maksymalnie efektywny wykorzystać wszystkie wartości tkwiące w nauce o języku, trzeba harmonijnego współdziałania całego zespołu czynników. Najważniejsze spośród nich to: właściwa postawa nauczyciela, jego przygotowanie merytoryczne i metodyczne, dobry podręcznik, sensownie ułożony program. Z. Jakubowska na podstawie lektury metodycznej, na podstawie wytycznych programu i materiału programowego z nauki o języku formułuje pięć punktów, w których zawarła zalecenia dla nauczyciela dotyczące prowadzenia lekcji gramatycznych. Powinny być one metodycznym *credo* dla każdego nauczyciela przygotowującego lekcję z nauki o języku. Przytoczenie tych zaleceń w całości zajęłoby zbyt wiele miejsca, poprzestańmy na swego rodzaju kwintesencji: „Tak więc praca nauczyciela przy obmyślaniu lekcji poświęconych gramatyce będzie głównie polegała na pogłębianiu i uzupełnianiu własnych wiadomości (teoretycznych i normatywnych) z tego zakresu, na celnym, starannym doborze przykładów i na zaplanowaniu centralnych poleceń i pytań” (s. 112).

Dalsze fragmenty zawierają wybrane zagadnienia metodyczne dotyczące po-



szczególnych działów gramatyki w szkole, a więc fonetyki, części mowy, słowotwórstwa, składni. Każdy z tych paragrafów stanowi małe kompendium wiedzy metodycznej, w którym omówione zostały znaczenie i cele danego działu nauki o języku w nauczaniu szkolnym, najważniejsze trudności, na jakie napotyka nauczyciel i uczeń, podstawowe wskazówki metodyczne, bardzo cenne zestawienia, wykresy i tabele, przykładowe rozwinięcia niektórych tematów lekcyjnych. Bardzo korzystne dla czytelnika jest podsumowanie, kończące poszczególne fragmenty. Szczególnie ciekawe i pożyteczne są rozdziały poświęcone nauce o częściach mowy i składni, a więc materiałowi, który sprawia i uczniom, i prowadzącym lekcje największą trudność. Na przykład bardzo przydatne będą na lekcjach składniowych zamieszczone przez autorkę tablice syntetyzujące, na których są zestawione terminy, a przy nich podane odpowiednie przykłady. Uczniowie mogą na podstawie takich schematów klasyfikacji i na konkretnych przykładach układać odpowiednie definicje.

Część IV zawiera wybrane zagadnienia metodyczne z nauki ortografii i interpunkcji. Nie trzeba chyba przypominać, jak ważne miejsce zajmuje nauczanie ortografii i interpunkcji na stopniu elementarnym. Tym bardziej, że narzekania na poziom uczniów są w tym zakresie prawie że powszechne. Dowodzi to w sposób oczywisty, że i nauczyciele nie mogą sobie z tym poradzić. Częściowo ma to swoje obiektywne uzasadnienie w trudnościach doboru właściwych metod nauczania ortografii. Z. Jakubowska tak o tym pisze: „Podstawy doboru metod nauczania ortografii nie są proste. Szablonowe stosowanie na przykład przepisywania, pisania ze słuchu, mechaniczne utrwalanie w pamięci pisowni pojedynczych wyrazów czy wymaganie opanowania pamięciowego reguł — nie zawsze jest słuszne i przydatne. Dobór metod nauczania ortografii powinien być uzależniony i od samego przedmiotu nauczania, który jest oparty na kilku różniących się całkowicie zasadach (fonetyczna, morfologiczna, historyczna), i od organizacji pracy w zakresie ortografii w szkole, która wymaga równoczesnego nauczania paru torami (systematyczna nauka przepisów ortograficznych, ćwiczenia ortograficzno-gramatyczne, ćwiczenia słownikowo-ortograficzne)” (s. 160). Autorka omawia szczegółowo dobór metod, po pierwsze ze względu na zasady ortografii, po drugie ze względu na zakres i organizację pracy w szkole.

Część IV, podobnie jak poprzednia, zawiera wiele tablic i wykresów oraz przykładowe rozwinięcie kilku tematów lekcyjnych. Bardzo cenną zaletą tej części jest ciągle łączenie zagadnień ortograficzno-interpunkcyjnych z gramatycznymi i w tym punkcie autorka konsekwentnie realizuje zalecenia najnowszego programu.

Na końcu zamieszczona jest tabela z przykładowym rozkładem materiału dla klasy V oraz dość bogata bibliografia, w której skład wchodzi najważniejsze pozycje z zakresu metodyki nauczania języka polskiego, jak również publikacje popularno-naukowe i naukowe z zakresu językoznawstwa.

Prezentowana książka ma ambicje syntetyczne i to jest jej największą zaletą. Wskazuje ogólne drogi postępowania w procesie dydaktycznym i wychowawczym, uczy sposobów przekazywania wiedzy na tak trudnym przecież stopniu elementarnym, ale nie ma w niej gotowych wzorów do mechanicznego naśladowania; propaguje sylwetkę nauczyciela, zaangażowanego nie tylko w sam proces nauczania, ale i w sprawy świata, w którym żyje, nauczyciela ciągle doskonalącego swój warsztat metodyczny i wiedzę fachową. Fragmenty omawiające organizację pracy polonisty w szkole, zwłaszcza wskazówki dotyczące rocznego planu dydaktycznego i rozkładu materiału w poszczególnych okresach będą bardzo przydatne dla absolwentów polonistyki podejmujących pracę w szkole, ponieważ — jak o tym świadczy praktyka — te właśnie obowiązki są dla młodego nauczyciela najbardziej uciążliwe. To samo można powiedzieć o zaleceniach w sprawie konspektów poszczególnych lekcji, których układania wymagają od początkującego nauczyciela rozporządzenia władz oświatowych. Rozdziały poświęcone nauczaniu gramatyki, ortografii i interpunkcji, dzięki



swej przejrzystości, bogactwu materiału przykładowego, licznym wskazówkom normatywnym i teoretycznym, z powodzeniem może wykorzystać nawet pedagog z długoletnim stażem.

Jerzy Podracki

Leszek Bednarczuk — *Polskie spójniki parataktyczne*, Wrocław 1967. Zakł. Nar. im. Ossolińskich, s. 122. PAN — Oddział w Krakowie — Prace Komisji Językoznawstwa, nr 13.

W roku ubiegłym ukazała się interesująca, bardzo sumiennie wykonana praca doktorska Leszka Bednarczuka — „Polskie spójniki parataktyczne”. W „Języku Polskim” (1968, nr 3) recenzowała tę pozycję J. Twardzikowa. W recenzji znajdziemy dokładne przedstawienie zawartości książki, mniej natomiast uwag krytycznych. Nie chcąc jeszcze raz powtarzać szczegółowego opisu zagadnień, którymi zajmuje się autor, ustosunkuję się do niektórych jego przemyśleń. Celem omawianej pracy jest przedstawienie historii polskich spójników parataktycznych z uwzględnieniem tła słowiańskiego, a niekiedy również rekonstrukcji indoeuropejskich oraz tła gwarowego. (Przy okazji uwaga: autor nie określa czasowo materiału gwarowego). Autor każdorazowo przytacza dokładną postać fonetyczną i morfologiczną spójnika, wyczerpująco też omawia warianty tych form. Nie pomija przy tym połączeń słowotwórczych spójników ze spójnikami lub innymi elementami, np. partykułami (*a-ni*, *ni-by*) oraz połączeń fakultatywnych, np. *a i*, *albo i*. Zajmuje się również etymologią omawianego spójnika, użyciem, częstością występowania i innymi znaczeniami, w końcu każdego paragrafu daje przykłady, które stanowią materiał historyczny.

Przedstawienie historii spójników — to przede wszystkim określenie przemian w ich funkcjonowaniu. Istota spójnika polega na jego funkcji składniowej. W związku z tym wydaje mi się, że podstawowym kryterium wyróżniania i klasyfikowania spójników jest kryterium funkcjonalne. Bednarczuk stosuje kryterium semantyczne, więc funkcjonalne (logiczno-składniowe), dzieląc spójniki parataktyczne na cztery podstawowe grupy: kopulatywne i dysjunktywne (to jest łączne — w terminologii prof. Klemensiewicza), adwersatywne (przeciwstawne), alternatywne (rozłączne). Natomiast podstawowego podziału spójników na parataktyczne i hipotaktyczne dokonuje autor na zasadzie wyłącznie formalnej. Spójniki parataktyczne są to spójniki „różniące się od pozostałych możliwością łączenia wyrazów i przestawiania konotowanych składników bez zmiany sensu całości wypowiedzi” (s. 5). Jest to rzeczywiście istotna cecha formalna spójników, ale nie funkcjonalna, tzn. ich parataktyczność nie wynika z możliwości przestawiania konotowanych składników, a w każdym razie wskazanie na ową możliwość nie w pełni określa parataktyczność stosunków. Niepełność tej definicji odczuwa się tym bardziej, że określenie *parataktyczny* jest podstawowym, a nawet tytułowym, pojęciem pracy. Autor zdaje sobie sprawę, że jego dalsza klasyfikacja nie musi być oparta na uniwersalnych kryteriach formalnych. Brak ich sam stwierdza przy różnieniu znaczeń *a* kopulatywnego i *a* adwersatywnego. Pomimo jednak tej niewyrazistości formalnej wyróżnia obydwa typy znaczeniowe *a*. Autora najczęściej nie zajmują sprawy teoretyczne związane ze spójnikami, z tym wciąż jeszcze niedostatecznie zbadanym kompleksem zagadnień składniowych. A przecież od rozstrzygnięcia tych spraw zależy niejednokrotnie sposób i wartość dalszych rozstrzygnięć szczegółowych. Charakterystyczne jest w tym zakresie stwierdzenie recenzentki pracy J. Twardzikowej: „Praca nie ma zainteresowań teoretycznych, jest w niej niewiele definicji wprowadzonych pojęć, teoretyczne stwierdzenia nie leżały w intencji autora. Dlatego nie może być ona przedmiotem dyskusji na temat słuszności przyjętego we wstępie kryterium spójników parataktycznych i ich czterech funkcji za-



równy z teoretycznego punktu widzenia, jak i po konfrontacji z przedstawionym materiałem" (JP s. 230). Czyżby recenzentka proponowała „sztukę dla sztuki”? Skoro, jak sugeruje, nie można dyskutować „słuszności przyjętego na wstępie kryterium spójników parataktycznych” (a nie jest to żaden aksjomat), to tym bardziej bezpodstawne wydawać by się mogło dyskusowanie z innymi wnioskami wynikającymi z podstawowego podziału i z podstawowego założenia.

Nie można się zgodzić z taką tendencją do izolowania, kawałkowania nauki o języku. Wydaje się bardziej celowe ukazywanie wyraźnych powiązań badanego fragmentu z całością zagadnienia. Dlatego w tego typu pracy można by się pokusić o bliższe określenie mechanizmu funkcjonowania spójników, o pełniejszą, również teoretyczną analizę stosunków składniowych. Bardziej oczywiste i uzasadnione stałyby się dla czytelnika poszczególne rozstrzygnięcia, np. w zakresie klasyfikacji znaczeniowej materiału. Ważne jest przy tym, w jakim stopniu uwzględnia się treść części łączonych i znaczenie całości zdania, czyli co należy do autonomicznej, swoistej funkcji spójnika, a co jest wtórnym znaczeniowym narzutem kontekstu. (Oczywiście nie da się tego ostro rozgraniczyć). Ma to swoje konsekwencje przy określaniu konkretnych funkcji spójnika. Np. Bednarczuk twierdzi, że spójnik *ale* różni się od pozostałych adwersatywnych brakiem specjalnego zabarwienia znaczeniowego, Misz natomiast przypisuje spójnikowi *ale* zabarwienie ograniczające, odwołując się do treści łączonych składników. Bednarczuk omawiając funkcję spójnika *a* pytajnego, na str. 15 sam zwraca uwagę na wpływ „pola składniowego” (wpływ kontekstu), dzięki któremu „*a* może nabrać również odcienia rezultatywnego”. Nie zawsze jednak bierze on pod uwagę ów wpływ „pola składniowego” i nie usiłuje odgraniczyć tego wpływu od swoistej funkcji spójnika lub partykuły. Dla autora każde *a* rozpoczynające zdanie pytajne ma znaczenie pytajne bez względu na to, czy następuje po nim zaimek pytajny, czy też nie, np. 1. „A k t o tu pyrvey przyniosl szwyerzynie?” 2. „Panie, a mamy bić mieczem?”. Wydaje mi się, że bardziej uzasadnione jest traktowanie *a* jako pytajnego w zdaniu drugim niż w pierwszym. A w zdaniu pierwszym jest tylko elementem zespołu pytajnego *a kto?*, przy czym drugi element tego zespołu — zaimek *kto* jest tym elementem, dla którego znaczenie pytajne stanowi cechę swoistą i naturalną. Podobnie, nie wydaje mi się, ażeby można było traktować (jak Bednarczuk) *a* w zdaniu: „Miły panie, my prostacy, a cóż wiemy nieboracy?” jako *a* o prymarnej funkcji pytajnej. Należałoby chyba stwierdzić, że jest on elementem zespołu pytajnego, który ma swoisty rezultatywny odcień znaczeniowy, jak w przytoczonym zdaniu, lub odcień nawiązujący jak w zdaniu: „A kto tu pyrvey przyniosl szwyerzynie?”

Jeżeli przyjmuje się klasyfikację znaczeniową w obrębie ogólniejszej formalnej, to ważne jest wyraźne ustalenie stosunku obu kryteriów, bowiem wykładniki formalne nie zawsze wynikają ze stosunków treści części łączonych, a czasem się im wręcz przeciwstawiają. Mam tu na myśli typ zdań wynikowych z *więc*, w których stosunek treściowy jest nadrzędno-podrzednym stosunkiem przyczynowo-skutkowym, a formalnie jest to typ zdania współrzędnie złożonego (por. Z. Klemensiewicz). Z tym typem zdań nie spotkałem się w pracy Bednarczuka, widocznie nie uważa ich za parataktyczne. Nie jestem też w pełni przekonany o słuszności zaliczenia spójników polisyndetycznych *choć*,  *chocia* w 16 i 17 wieku do spójników alternatywnych. Sam autor stwierdza „prymarną funkcję koncesywną” spójnika *choć*, twierdzi jednak, że „alternatywne od koncesywnego *choć* różni się obligatoryjnym polisyndetem”. Jako przykład alternatywnego spójnika przytacza  *chocia* w zdaniu: „Chocia człowieka zabijają, chocia się na cudzą majątność targną, chocia też co innego złego zbroją, przedsię... wolno sobie latają” (s. 45). I tu znów nie sposób uniknąć teoretycznych ustaleń. Należy mianowicie ustalić, czy ważniejsza jest swoista funkcja spójnika  *chocia* wynikająca bezpośrednio ze stosunku części zespolonych, czy też funkcja tego spójnika w szerszym kontekście. Jeżeli przyjmiemy tę pierwszą zasadę, pod-



stawowym dla naszej analizy będzie hipotaktyczny stosunek zdań: „choć człowieka zabijają..., przedsię... wolno sobie latają; chociaż się na cudzą majątność targną..., przedsię wolno sobie latają” itd. W tym wypadku spójnik *choć* należy uznać za koncesywny, tj. przyzwoleniowy. Jeżeli natomiast jako podstawową przyjmiemy (tak jak autor) funkcję spójnika *choć* w polisyndetycznym ciągu parataktycznym „...choć człowieka zabijają, chociaż się na cudzą majątność targną, chociaż też co innego złego zrobią” i dopiero wtórnie tę podrzędną całość odniesiemy do nadrzędnika „wolno sobie latają”, to wówczas mamy prawo uważać spójnik *choć* za spójnik alternatywny. Wydaje mi się jednak, że taka analiza jest dosyć dowolna. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że pierwotną i istotną cechą spójnika *choć* w zdaniu (i w przytoczonym również) jest cecha przyzwoleniowości wynikająca ze stosunku nadrzędnika do podrzędnika i dopiero wtórnie możliwa, ale niekonieczna, jest cecha alternatywności tego spójnika. W tym zdaniu alternatywna funkcja *choć* wynika wyłącznie z powtarzania się spójnika w całości zdaniowej. Alternatywność nie jest więc cechą właściwą spójnika *choć*. Można się o tym przekonać podstawiając w tym zdaniu w miejsce drugiego i trzeciego *choć* inne spójniki, np. *i*, *lub*, *albo*. Treść całego zdania ani typ zdania nie ulegnie zmianie. Uważam, że zawsze z polisyndetonu wynika funkcja łączna lub rozłączna — tj. alternatywna w nomenklaturze autora. Dla danego spójnika jest to, jak powiedziałem, funkcja wtórna — ze względu na polisyndeton. Podobnie spójnik *jeśli* użyty polisyndetycznie nabiera znaczenia alternatywnego. Nic więc dziwnego, że Bednarczuk na s. 51 nie może w sposób zdecydowany rozstrzygnąć, „czy funkcja alternatywna powstała tylko ze znaczenia względno-pytajnego, czy także z warunkowego”. Przykład potwierdzający tę drugą możliwość: „Jeśli chcesz państwa przyczynić jeśli z sławą żyć, jeśli chcesz, aby się ciebie nieprzyjaciel bał, tedy podlec musisz wszystkim onym niewczasom” (s. 51).

Dzięki użyciu polisyndetycznemu również dysjunktywne *ni* nabiera wartości alternatywnej. Wskazuje na to sam autor: „W konstrukcji polisyndetycznej porównawcze *ni* (to) zachowuje wartość dysjunktywną oscylując nawet ku funkcji alternatywnej, por.: „Ni to chór potępieńców, ni wycie stada psów, ni ryk dzikich zwierząt, ni grzmoty burzliwe rozchodziły się po pokoju” (s. 63). To, co powiedziałem o właściwości polisyndetonu (cecha łącznego wyliczania lub alternatywności), potwierdza również materiał przytoczony przez Bednarczuka.

Autor „Polskich spójników parataktycznych” wprowadził wiele założeń w pracy swej nie uzasadnionych. Z konieczności trzeba się odwoływać do całości dorobku naukowego autora, co nie zawsze jest wygodne. Uzasadnianie wniosków jest przecież w każdej pracy naukowej momentem istotnym. Wiele jednak założeń lub rozstrzygnięć autora trzeba przyjmować „na wiarę”. Np. powstanie spójnika *a* autor odnosi aż do rozpadu dialektycznego wspólnoty indoeuropejskiej, stwierdza przy tym: „Funkcja kopulatywna powstała przypuszczalnie ze wskazania na współwystępowanie w czasie”. Nie wiadomo jednak, na czym opiera to przypuszczenie.

Niezrozumiałe jest dla mnie zaliczenie spójnika *a* występującego w wieloczłonowych konstrukcjach eliptycznych jako *a*, wg autora, w funkcji przeciwstawnej w odróżnieniu od *a* polisyndetycznego, które jest, jego zdaniem, kopulatywne.

Kopulatywne polisyndetyczne: „Tedy oni na drzewie go ukrzyżowali a umarłego pogrzebawszy stroże... położyli a naznamienowawszy grob odeszli” (s. 13).

Adwersatywne w konstrukcji eliptycznej: „Na samym przedzie ni to iskra, ni dziewczyna w czerwonej jak ogień spódnicy, a tańcuje, a nosi się, a wywija” (s. 13).

Oczywiście tak jak stwierdza autor „od polisyndetonu odróżnić należy wieloczłonne konstrukcje eliptyczne, w których każdy następny składnik łączy się bezpośrednio z pierwszym, a nie jak w polisyndetonie z poprzednim...” (s. 13). Tego typu eliptyczne konstrukcje charakterystyczne są dla gwar. Por. ze „Słownika gwar warmińsko-mazurskich”: „To muchor i ma takie kropki po sobie” (Hejstyk, Pisz). „Coju-



nek, a f tem cojunku cewka i sie žuca" (Mierk, Ostruda). „Łod jednego znajomego jedne koze kupił i duze wymie miała”.

Różnica w konstrukcji omawianych typów zdań nie decyduje o przeciwstawności spójnika w konstrukcjach eliptycznych. Funkcja pierwszego *a* w ciągu spójników w zdaniu: „Na samym przedzie ni to iskra (...) a tańcuje, a nosi się, a wywija” jest zbliżona do funkcji zaimka względnego *który*. Jest to konstrukcja pozornie parataktyczna. Parataktyczna tylko z formalnego punktu widzenia. Dalsze w tym ciągu spójniki mają funkcję kopulatywną. Potraktowanie przez Bednarczuka tych spójników jako adwersatywnych wydaje mi się błędne. W obydwu przytoczonych zdaniach złożonych (oprócz pierwszego *a* w konstrukcji eliptycznej) *a* łączy składniki stanowiące elementy orzeczenia szeregowego. Budzi we mnie również pewne wątpliwości klasyfikacja znaczeniowa w zakresie funkcji adwersatywnej:

- A — słabe przeciwstawienie, np. *a, ali, ano, awo...*
- B — wyraźne przeciwstawne (brak precyzyjnego ustalenia zasady podziału), np. *lecz, leć, leno, no, ali, bo...*
- C — przeciwstawienie z odcieniem ponowności, np. *lepak, zasię, natomiast, za to...* Można tu mówić raczej o odcieniu znaczeniowym nawiązania, a nie o ponowności.
- D — przeciwstawienie ograniczające, np. *tylko, tyla, aby...*
- E — przeciwstawienie z odcieniem rezultatywnym, np. *wždy(ć), wżda(m), wszak(o), wszelak(o), przecie(ż), jednak, jednakowo(ż), równak(owoż), niemniej, mimo to...* (s. 69).

Chciałbym zwrócić uwagę na przybliżoność tej klasyfikacji. Najczęściej bowiem w danej funkcji występują takie a nie inne spójniki, czyli dla danego spójnika dominująca, charakterystyczna jest ta, a nie inna funkcja. Ogólny typ spójnika nie decyduje jeszcze o funkcji, jaką spójnik pełni w kontekście. Autor zalicza spójnik *a* do grupy o znaczeniu słabo przeciwstawnym. Analiza materiału wykazuje, że *a* może być również wyraźnie przeciwstawne (grupa B) tak jak *ale, lecz*. Nie wynika to z klasyfikacji autora. Intencja jednak jest zrozumiała. W punkcie E omawianej klasyfikacji Bednarczuk zalicza do jednej grupy spójników o odcieniu rezultatywnym: *jednak, jednakowoż, równakowoż, niemniej, mimo to* obok rzeczywiście wyraźnie rezultatywnych *wždy, wszak, wszelako, przecież*. Jest to dla mnie niezrozumiałe tym bardziej, że w odpowiednich paragrafach, w których omawia poszczególne spójniki, nie akcentuje ich znaczenia rezultatywnego. I tak np. na s. 95 stwierdza: „Spójnik *jednak* i pokrewne służy do słabego przeciwstawienia... i posiada odcień uzupełniający, związany z przedspójnikowym znaczeniem tego wyrazu”. *Mimo to* zaliczone na s. 69 do spójników rezultatywnych jest typowym spójnikiem przeciwstawnym o odcieniu przyzwoleniowym (koncesywnym). Nie można utożsamiać rezultatu z tzw. racją niedostateczną. Autor wskazuje wprawdzie na użycie spójników, *ale, lecz, wszak, atoli, jednak* w apodozie zdania koncesywnego. Nie wymienia jednak w tej grupie wyrażenia spójnikowego *pomimo to*, chociaż funkcja tego wyrażenia w przeciwieństwie do wyżej wymienionych spójników jest funkcją „prymarnie koncesywną”. Nasuwa mi się jeszcze kilka uwag szczegółowych. Proces wyparcia funkcji kopulatywnej *a* w języku literackim zdaniem Bednarczuka już dawno się zakończył. „Już w epoce prasłowiańskiej rozpoczął się proces usuwania z funkcji kopulatywnej *a* przez *i*” (s. 8). Na stronie 16 autor pisze: „Zakończenie tego procesu można obserwować jeszcze w epoce historycznej”. Ten bliżej nieokreślony czas zakończenia procesu autor sprecyzował wcześniej na stronie 8: „Proces ten dokonał się ostatecznie w polskim języku literackim w końcu 17 wieku. Dziś funkcja kopulatywna poza utartymi zwrotami, zachowała się w niektórych gwarach peryferyjnych, mianowicie w dialekcie słowiańskim, Kaszubskim, gwarze Chwalimia, rzadziej na Śląsku, sporadycznie też gdzie indziej”. W tych innych gwarach *a* w funkcji kopulatywnej nie jest wcale



sporadyczne. Na 4000 zbadanych przeze mnie użyć *a*, spójnik ten wykazuje przeszło w 500 wypadkach znaczenie kopulatywne. Np.: „W zime to założyli jajte, to chłopci naganiali a strzelali w nich” (Jabłonka, Nidzica). Nie jest to więc w gwarach proces zakończony. Bednarczuk przypisuje również większą niż jest w rzeczywistości przewagę funkcji adwersatywnej nad kopulacyjną w zakresie połączeń spójnikowych z *a*. W zachowanych do dziś połączeniach — z wyjątkiem zmodyfikowanych znaczeniowo *a to*, «to jest», *a mianowicie*, gw. *a ino*, «tak» — mamy do czynienia w zasadzie z przeciwstawnym znaczeniem *a* (s. 12). Wątpliwa to zasada, skoro można mnożyć wyjątki. Czyżby bowiem autor połączenia (które sam zresztą wcześniej wymieniał) typu *a więc*, *a też*, *a potem*, *a przeto*, *a i* uważał bezwzględnie za przeciwstawne?

W rozdziale I pt.: „Funkcja kopulatywna” (s. 11) autor omawiając „postać łączonych składników” w punkcie B przytacza przykłady, w których spójnik *a* pojawia się w apodozie zdania względnoczasowego i po zaimku względnym, np. „Gdy wszystkie ludzkie poszczesz, a gdesz sama uczesz?” lub „Nim się zwleką posiłki... a nam tu usychać dotąd przyjdzie”. Nie wydaje mi się słuszne umieszczenie tych przykładów jako ilustracji funkcji kopulatywnej. Chyba taką samą funkcję jak w przytoczonych tu zdaniach pełni *a* w zdaniu: Pochyl się, a powiem ci coś na ucho. Tym razem autor przypisuje spójnikowi *a* znaczenie adwersatywne.

Obecnie w języku literackim, nie licząc utartych zwrotów, *a* jest w zasadzie spójnikiem adwersatywnym, gdyż — jak zauważył Misz — połączenia z *a* nie są wymienne z *i* na gruncie wyrazowym, a w łącznych zdaniach nie mogą wystąpić czasowniki w różnych trybach, np. „pochyl się, a powiem ci coś na ucho”. Wydaje mi się, że *a* we wszystkich trzech cytowanych zdaniach ma wartość bliską zapowiednikowi zespolenia to zwłaszcza w zdaniach o odcieniu warunkowym.

W punkcie C na s. 11 (cd. „postać łączonych składników”) autor stwierdza: „W języku staropolskim przyimek powtarza się zwykle przy wszystkich łączonych przez *a* wyrazach (tylko *między* od czasów najstarszych nie bywa na ogół powtarzane, ze względu na znaczenie i wartość adwerbialną”. Przecież taką wartość ma nie tylko przyimek *między*, ale mają również i inne przyimki, np. *pod*, *nad*. Wyjaśnienie Bednarczuka nie jest więc przekonujące. Przy okazji — jaką wartość adwerbialną w odróżnieniu od znaczenia adwerbialnego ma na myśli autor, wyliczając i znaczenie, i wartość łącznie?

Chciałbym zwrócić uwagę na pewną niekonsekwencję terminologiczną. Na s. 77 „Sporadycznie również w epoce historycznej *ale* może występować w pozycji enklitycznej, traci wówczas funkcję spójnika stając się partykułą ograniczającą «przynajmniej». Na s. 79 w paragrafie: „Inne znaczenia C” (spójnik *ale*) jako przysłówki ograniczający”. Ta sama część mowy o tym samym znaczeniu ograniczającym została tu nazwana raz partykułą, drugi raz przysłówkiem. Brak więc w tym konsekwencji.

Ta interesująca i wartościowa praca napisana jest językiem dość trudnym, przeznaczonym dla wąskiego kręgu specjalistów. Trzeba się wpierw oswoić z terminologią. Np. nazwy funkcji spójników, skądinąd znane (por. Z. Klemensiewicz) zostały tu zmienione na łacińskie terminy wzięte od logików. Logicy jednak wyrazy takie jak *albo* (dysjunkcja) *lub* (alternatywa) klasyfikują inaczej niż językoznawcy. Bednarczuk *albo* i *lub* zgodnie z praktyką językoznawczą zalicza do tej samej grupy spójników alternatywnych. Od logików zapożycza on terminy — *negacja kwalifikatywna* i *kwantytatywna*. Zamiast *wskazujący* — mówi — *deiktyczny*, zamiast *przeciwstawny* — mówi — *adwersatywny*. Używa greckiego terminu *apodoza*, który nie figuruje nawet w Słowniku terminologii językoznawczej. Tendencja do posługiwania się terminologią łacińską zrozumiała jest ze względu na uniwersalność tego języka. Są jednak terminy polskie tak powszechnie przyjęte, że zastępowanie ich w tekście polskim terminami obcymi wydaje się pewną przesadą. Nie zawsze łatwy i zrozumiały tekst traci jeszcze przez to na jasności. Przykładem takiego niezbyt



szczęśliwego sformułowania jest np. zdanie na s. 19: „W języku polskim do połowy 19 wieku pojawiają się połączenia bezpośrednie lub na odległość przydawki przyimkowej (zwykle rzeczownika) w instrumentalu z socjatywnym z (s) za pomocą spójnika i z poprzedzającym podmiotem (zwykle rzeczownikiem) w nominatywie”. Myślę, że dałoby się to powiedzieć prościej. Mimo takich czy innych braków praca Bednarczuka ze względu chociażby na interesujące potraktowanie tematu dotąd nie opracowanego, stanowi poważny wkład do nauki o składni języka polskiego. Jest to praca przemyślana, dokładna i o niezwykle uporządkowanej konstrukcji. Wielostronnie naświetla zagadnienie, dostarcza przy tym bogatego interesującego materiału.

Grzegorz Walczak

Jedna z końcowych uwag recenzenta: „Myślę, że dałoby się to powiedzieć prościej” mogłaby się odnosić nie tylko do fragmentu tekstu, w związku z którym recenzent tę uwagę wypowiedział. Zastanówmy się np. nad zdaniem: „alternatywne od koncesywnego *choć* różni się obligatoryjnym polisynedetonem”. Treścią tego zdania ma być wyjaśnienie jednej z funkcji spójnika *choć*, to znaczy ukazanie impulsów, pod których wpływem *choć* bywa w pewnych związkach wyrazowych używane. Spiętrzenie terminów metajęzykowych temu celowi nie zawsze służy. Stylizacja „różni się obligatoryjnym polisynedetonem” nie jest najszcześniejsza. Takim „przekodowywaniem” aktów mowy na ich metajęzykowe określenia trzeba operować jak najoględniej, bo w tej dziedzinie grozi zawsze niebezpieczeństwo pacyzenia się myśli analitycznej pod wpływem skojarzeń determinowanych przez bodźce wewnątrzpochodne, to znaczy niebezpieczeństwo utraty, urywania się kontaktów z tym, co stanowi istotny obiektywny przedmiot naszego zainteresowania i badania.

W. D.



# C O P I S Z A   O   J Ę Z Y K U ?

Nie milkną głosy na tematy ortograficzne, poruszane już uprzednio. A więc raz jeszcze powraca na łamy prasy sprawa *Barbórki* (lub *Barburki*), przy czym dodatkowo wylania się jeszcze kwestia dużej czy też małej litery początkowej. Chodzi mianowicie o artykuł A. Cieślarrowej, redaktorki rubryki *Nasza polszczyzna* (*Bumerang*, nr 2 z 1969 r. wrocławskiej „Gazety Robotniczej”). Autorka słusznie podkreśla, że stan istniejący, tzn. niejednorodność pisowni omawianego wyrazu, jest nie do utrzymania. Powtarzając wiele sądów już dobrze znanych, autorka wnosi też pewne nowe myśli. Jedną z nich jest dyskusyjna: Słownik ortograficzny (np. Jodłowskiego i Taszyckiego) — stwierdza A. Cieślarrowa — informuje, jak pisać poprawnie, natomiast *SJP* pod red. W. Doroszewskiego — jako dokument stanu słownictwa polskiego naszych czasów — nie jest „dosłownie słownikiem ortograficznym”, czyli — jak należy się domyślać — jego werdykty pisowniowe nie są ostateczne. Inne natomiast stwierdzenie autorki jest bezsporne: chodzi tu w gruncie rzeczy o dwie formy, jedną jest zdrobniała postać *Barbórka* (od śląskiej formy *Barbora*) i ta stanowczo powinna się pisać — nie mówiąc już o początkowym *B* — przez *ó*, druga zaś — to nazwa święta górniczego: *barbórka* lub — zgodnie z odczuciem nie-Ślązaków — *barburka*, przez małe *b*. Co do litery oznaczającej środkową samogłoskę, autorka przychyliła się ku *u*, formę zaś *Barburka* nazywa „ni tym, ni owym”. Jeśli chodzi o opinię piszącego te słowa, pozwalam sobie odesłać Czytelnika do tejże rubryki w 4 nrze *PJ* z br.

Drugim z nie wygasających tematów jest kwestia małych liter w nazwach wyrobów przemysłowych. Wprowadzony w ubiegłym roku przepis ortograficzny, tzn. pisownia *żuk*, *warszawa* (nazwy samochodów), *nysa*, *grunwald*, *górnik* (nazwy papierosów), *elenium*, *penicylina* (nazwy leków) itp. — w szczególności właśnie jeśli chodzi o nazwy samochodów, motocykli i papierosów — od samego początku budzi żywy sprzeciw dziennikarzy. Pierwszy głos protestu odezwał się z łamów „Motoru” (w marcu 1968 r.), który to tygodnik nie tylko w pełni uznaje prawo językoznawców do rozstrzygania o sprawach języka i pisowni, ale też sam — jak czytamy — wnosi swój skromny udział w zakresie wzbogacania języka, upowszechniając takie nazwy, jak *nadwozie*, *gaźnik*, *przegub wału napędowego* itp. Pod koniec ub. roku podobny protest wniósł w „Zyciu Warszawy” J. Kasprzycki, zimą zaś roku bieżącego ponowił go popularny Ibis, zamieszczając w swojej rubryczce *Byki i byczki* apel pł. *Ratujmy „Żubry”* („Z.W.”, nr 10 z br.). „Sytuacja była istotnie głupawa, — powiada Ibis — bo gdy się człowiek natknął na zdanie: *Co, u licha, z tym sportem* — nie wiedział, czy to żale sportowca, czy palacza”, po czym cytuje gadkę o brzmieniu: „nie śpij na jawie (mowa oczywiście o motocyklu), bo się ockniesz na trawie”. W końcowym wniosku krewki Ibis postanowił się zbuntować i ogłosić secesję ortograficzną: precz z żubrem, warszawą, sportem, niech żyją „Zubr”, „Warszawa”, „Sport”. To swoje sobiepaństwo Ibis rozgrzesza filozoficzną uwagą, iż „reformy ortograficzne były, są i będą”. Apel ten nie pozostał bez echa. Oczywiście żywo podjął go wzmiankowany już tyg. „Motor” (nr 5 z 1969 r. — *żuk rozbił warszawę, czyli „Zycie” także się buntuje*), uzasadniając swoją decyzję niestosowania się do przepisu Komitetu Językoznawstwa PAN chęcią „usunięcia jednego z drobnych ale kłopotliwych nonsensów” utrudniających życie. Również „Kurier Szczeciński” nie dał się długo



namawiać (Ibis wyraźnie wszak zaapelował do „kolegów dziennikarzy o podjęcie podobnej uchwały” — to znaczy o wprowadzenie na łamy dzienników „pisowni secesyjnej” w zakresie użycia cudzysłowu i dużych liter), dostatecznie wymowny jest sam tytuł artykułiku w nrze 12 tego dziennika: *Popieramy „rebelię” kolegów z „Życia Warszawy”*. Bardzo serio ujął sprawę „Magazyn Filmowy”, którego redaktor naczelny wystosował do „Życia Warszawy” list zatytułowany *Popieramy* i zawierający zapewnienie, iż wydawnictwa Centrali Wynajmu Filmów popierają „wysiłki zmierzające do wprowadzenia zasad zdrowego rozsądku w pisowni polskiej i polskim języku dziennikarskim (nr 24 „Z. W.”). Lektura prasy codziennej i periodycznej poucza, że istotnie „rebelia” zatoczyła szerokie kręgi.

Ale skoro już poważnie mówimy o zdrowym rozsądku, warto przypomnieć że i tak w naszej pisowni wielkie litery występują w nadmiarze, o wiele ich więcej niż w pozostałych językach słowiańskich, a ostatnia zmiana miała na celu zahamowanie tej wzmagającej się fali majuskuł. Zresztą rzecz charakterystyczna, wszystkie ataki na omawiany przepis przytaczają pewną grupę nazw samochodów, motocykli i papierosów. Nikomu oczywiście nie szkodzi *burgund* (wino) obok *Burgunda* (mieszkaniec Burgundii) ani *arab* (koń) obok *Araba*, mało kto sprzeciwia się majuskułom o nazwach leków, napojów, przyrządów (np. *rentgen* — obok nazwiska *Roentgen*). Ponieważ istotnie z owymi *żukami*, *warszawami*, *jawami* itp. mogą zdarzać się — ale nie zawsze przecież — nieporozumienia, najsluszniejsze byłoby takie wyjście: nie należy — dla kilku nazw, powodujących lub mogących spowodować niejasność — zmieniać rozsądnej, tak jest, rozsądnej w istocie rzeczy zasady pisania wyrobów przemysłowych małą literą, można natomiast pozwolić na fakultatywne (tzn. w miarę potrzeby) stosowanie cudzysłowu. Wtedy żadna „jawa” nie pomyli się z *jawą*, żaden „żuk” z *żukiem* itp. Warto też dodać, że w ferworze polemicznym niektórzy „rebelianci” przesadzili i wyśmiewali się z form, w ogóle przez przepisy ortograficzne nie nakazywanych. Tak np. nikt nie poleca pisać *fso* zamiast *FSO* (Fabryka Samochodów Osobowych), jak to usiłuje wmówić czytelnikom cytowany już artykuł w „Motorze” (nr 5).

Innego typu kłopoty ortograficzne przypomina A. Cieślara w artykule *Komplikacje z kropką* (nr 24 „Gazety Robotniczej”). Chodzi o niewłaściwy ale bardzo rozpowszechniony sposób oznaczania liczebników porządkowych (3-ci, 5-ego itp.), o niepotrzebne stosowanie kropki po cyfrze rzymskiej (klasycznym przykładem na ten błąd — nie podanym zresztą przez autorkę — jest napis na tablicach ulicznych w Warszawie: *Al. I. Armii Wojska Polskiego*, zamiast *I Armii* lub ostatecznie *1. Armii*). Sprawy to drobne, ale powszechnie panujący w tej dziedzinie chaos nie przynosi chluby nikomu z piszących.

\*

Ze zaś podstawowe, elementarne nawet zasady pisowni bywają lekceważone, wiemy o tym, niestety, nie od dziś. Drobne ale złośliwe uchybienia tego rodzaju stale notuje prasa. Oto jakiś urząd nie wie, że miejscownik od nazw geograficznych typu *Ostrowite* ma końcówkę *-em* (*Owszem, w Ostrowitem*, nr 25 poznańskiego „Głosu Wielkopolskiego), autor tablic z nazwami ulic warszawskich waha się, jak pisać: ul. *Zwycięzców*, czy *Zwycięsców* i podaje na zmianę obie te formy (*Wątpliwości*, nr 20 „Expressu Wieczornego”), wreszcie jakieś laboratorium analityczne dysponuje formularzami z rubryką: *u pacjenta* (*Byk w pacjencie*, nr 24 „Kurierza Polskiego”).

\*

Niejedną wątpliwość, jak to często bywa, dotyczy wymowy lub postaci poszczególnych wyrazów. I tak H. Lewandowski w liście do „Przekroju” (*Jak wymawiać?* tyg. „Przekrój” z 26.I.69 r., nr 1242) upomina się o właściwą wymowę nazwiska



wielkiego kompozytora, które brzmieć powinno nie *Betowen* lecz *Beethoven* (z długim *e*, z przydechem *th*, z akcentem na pierwszej sylabie). Autor listu dość szczegółowo uzasadnia swoje uwagi, powołuje się m.in. na dwa wielkie słowniki niemieckie, podczas gdy na dobrą sprawę wystarczy zajrzeć do 1. tomu naszej *Wielkiej encyklopedii powszechnej*, by znaleźć tam odpowiednie wyjaśnienie.

Jeśli zaś o formy gramatyczne chodzi, Ibis w felietoniku *Nim zakwitną tulipany* (nr 46 „Z.W.”) omawia błędną formę *narcyze*, która — wydrukowana w „Życiu Warszawy” w tytule pewnej wzmianki — wywołała protesty czytelników. Autor z właściwą sobie żartobliwością proponuje, by w przyszłości — wobec wahań *narcyzy* — *narcyze* — podawać w tytułach formy nie budzące żadnych wątpliwości (właśnie np. *tulipany*) i dość pobłaźliwie odnosząc się do bezspornie niewłaściwej końcówki *-e* (*narcyze*), powołuje się na książkę prof. dra W. Doroszewskiego *O kulturę słowa*. Czytelnik mógłby zrozumieć, że prof. Doroszewski „odnotowując *narcyze*” — jak pisze Ibis — przyzwala na tę formę. W rzeczywistości sprawa wygląda inaczej. Oto w 2. tomie wymienionego dzieła w ustępie *Ulica Nowosolipsowska* (s. 548) prof. Doroszewski, omawiając ciekawą w rzeczy samej formę *Solipse* zauważa, że końcowe *-e* występuje tu zamiast oczekiwanego *-y* „jak w formie *narcyze* zamiast *narcyzy*”. I nic więcej o *narcyzach*, samo zaś sformułowanie: *narcyze* zamiast *narcyzy* — dowodnie świadczy o niewłaściwości pierwszej z tych postaci. Inna rzecz, że sprawa końcówek *-e* lub *-y* w mianowniku l.mn. rzeczowników męskich oraz żeńskich z tematem na *s* (*narcyz* na *z* jest wypadkiem odosobnionym) warta jest szczegółowego omówienia. Niepełnej, o ile pamiętam, analizy tego zjawiska dokonał w latach międzywojennych któryś z polonistów francuskich (chodzi tu wyłącznie o wyrazy obcego pochodzenia), bodaj H. Grappin, należałoby jednak rzecz zbadać od nowa. Sygnalizuję po prostu, iż rzeczowniki zakończone na *-ens*, żeńskie na *-ensa* mają — zgodnie z fonetyczną i funkcjonalną twardością *s* — mają końcówkę *-y*: *nonsensy*, *kredensy*, podobnie r.ż.: *dyspensy*, *mensy* (a więc jak *nosy*, *kosy*), natomiast zakończone na *-ans*, *-ansa* — raczej przybierają w l.mn. miękko tematową końcówkę *-e*: *awanse*, *dylizanse*, *reweranse*; r.ż.: *anse*, *szanse*; niekiedy obie końcówki występują obocznie: *seanse* i *seansy*, co notuje zarówno *Słownik popr. polszczyzny* Szobera, jak i *SJP* pod red. prof. Doroszewskiego; rzeczownik żywotny *szympans* ma twardo tematowe *-y*: *szympansy*, ale podobnie jak *narcyze*, słyszymy też niepoprawną formę *szympanse*, przed którą ostrzegają wydawnictwa poprawnościowe. Wydaje mi się, że pozornie nieprawidłowa końcówka *-e* ma tu jeszcze inne źródło niż cytowane przez prof. Doroszewskiego — w innym zresztą nieco kontekście (por. wyżej formę *Solipse*) — upodobnienie do w pełni uzasadnionej miękko tematowości tych rzeczowników postaci mianownika l.mn. typu *dusigrosze*, *męczydusze*. Rzecz ciekawa, że podobną skłonność do funkcjonalnej miękkości — to znaczy do przybierania przez dany rzeczownik końcówek miękko tematowych — ma również *-s* (a także *-x*) w zakończeniu obcego pochodzenia wyrazów czeskich (nazwiska lub imiona *Weiss*, *Marx*, *Max* odmieniają się tam według wzoru miękkiego). W jęz. czeskim zjawisko to rozszerza się zresztą na wyrazy swojskie (także w odniesieniu do *z*), np. rzeczownik pospolity *mráz* (= mróz) jest oczywiście twardo tematowy (dopelniacz *mrazu*), ale użyty jako nazwisko — przechodzi do odmiany miękko tematowej: *Mráz*, dop. *Mráze* (długość *á* pozostaje bez zmiany).

•

Parokrotnie już cytowany tu Ibis (nic dziwnego, jego felietony ukazują się regularnie co tydzień) przytacza list pewnego czytelnika, ostro karzącego szerzącą się w radiu, telewizji, prasie formę *plastik* zamiast *plastyk*, jak zalecają pisać słowniki ortograficzne i poprawnościowe (*Reklama bezinteresowności*, nr 4 „Z.W.” — tytuł odnosi się do usterek, technicznej raczej natury, trafiających się w napisach



neonowych). Ow czytelnik popada w przesadę, nazywając *plastik* „rozwielniającym się grzybem pasożytniczym” (obyż takie tylko grzyby pasożytowały na języku!), ale ma trochę słuszności, zestawiając to i zamiast *y* z „manierą starszych pań z tzw. towarzystwa, które dziś jeszcze mówią *seledin*, *centimetr*, składając hold cudzoziemszczyźnie”. Niewątpliwie tak, ale zważywszy na istnienie starszego od *plastyku*-tworzywa *plastyka*-twórcy, zauważyć należy, że zaczęło się już powoli ustalać zróżnicowanie: starsza postać ze spolszczoną grupą *ty* odnosi się wyłącznie do «osoby, twórcy dzieł z zakresu plastyki», natomiast forma młodszą, z grupą *ti* została zarezerwowana dla rzeczownika oznaczającego «sztuczne tworzywo». W swobodnej wymowie oboczność *plastyk* — *plastik*, z podanym tu zróżnicowaniem znaczeniowym, bezsprzecznie istnieje. No, ale skoro słowniki zdecydowały o ujednoczeniu form, trzeba się poddać obowiązującym przepisom.

Tenże czytelnik jak najsluszniej wytyka wadliwą pisownię wyrazów obcych: z wielu wywieszek straszny napis *expresso* (po jakiemu to ma być?), podczas kiedy forma włoska brzmi *espresso*, a znów dziwaczny *coctail* konkuruje z prawidłowym, angielskim *cocktailem*. Zgadzam się z autorem listu, że warto by, wzorem spolszczonych form *hokej*, *trolejbus* itp. pisać także *koktajl*.

\*

Skoro już mowa o poprawności językowej, odnotujmy nowe głosy krytykujące język naszej telewizji. W tyg. „Ekran” T. Domaniewski bardzo ostro, ale bez wątpienia słusznie, karci komentatorów sportowych (*Widownia — stadion. Co słyszysz, kibicu?* — w nrze 5 wymienionego tygodnika). Autor po stokrć ma rację, gdy pisze, że wpływ telewizji na język telewidzów jest większy niż się to wydaje. Tymczasem z odbiornika płynie polszczyzna nie najlepsza, jeśli chodzi o wymowę, składnię zasób słów. Autor przypomina, że reporter sportowy pracuje w pośpiechu, że czasem naprawdę nie ma możliwości wypowiedzania pięknych, okrągłych zdań. Oprócz braku możliwości — dodaje nieco kąśliwie a sprawiedliwie T. Domaniewski — często zdarza się także brak *u m i e j ę t n o ś c i*. Nie chodzi przecież o jawne przejęczenia się, ale o zasadnicze niedostatki w zakresie kultury słowa. „Jeśli dziś mówi się w Polsce źle i niechlujnie — czytamy — to nieostatnia w tym wina telewizji, przede wszystkim telewizji sportowej”. Tej — dodajmy — której z takim przejęciem przysłuchuje się młodzież szkolna. Konkretnych środków poprawy tego stanu rzeczy autor nie podaje, mówi jedynie o obowiązkach, ciężących zarówno na redakcjach telewizyjnych jak i na kierownictwie ruchu sportowego.

Jeśli chodzi o pracowników telewizji, pozytywny przykład ich ingerencji w sprawy językowe notuje tyg. „Radio i Telewizja” (nr 4) w *Notatniku telewidza*. Oto popularny red. R. Serafinowicz podczas jednego z teleturniejów w sposób taktowny — jak pisze autor notatki — pouczył uczestników konkursu, że nie należy mówić np. *szkoła imieniem Mickiewicza*, ale *imienia Mickiewicza*. Ciekawa rzecz, jak błąd ten — jawnie przecież niedorzeczny — szeroko się rozpowszechnił! Czyżby oddziaływało tu skojarzenie ze zwrotem *mówić czylimś imieniem*, który zresztą także nie jest najpoprawniejszy, bo należy *mówić w czylimś imieniu*.

\*

Z całą serią artykułów w obronie czystości i poprawności języka wystąpił z początkiem roku tyg. „Polityka”. Najpierw zabrał głos J. Zakrzewski („Polityka”, nr 2, *Słowa, które nie znaczą*), krytykując szablonowość stylu i „wielosłowie” języka dziennikarskiego, z kolei M. Radgowski powrócił do znanej sprawy nadużywania wyrazów obcych, wreszcie zaś M. Szerer wystąpił z obszernym artykułem pt. *Pani doktor poszła do pani profesor*, bynajmniej nie ograniczającym się do zagadnienia tzw. maskulinizacji form, odnoszących się do kobiet (nr 7 „Polityki” z br.).

Artykuł M. Szerera, napisany z werwą polemiczną i z głębokim przejęciem się



poruszoną tematyką, zasługuje na parę uwag. Główny atak skierowany jest przeciw językowemu „niedbaluchostwu” — jak wyraża się autor — i niechlujstwu, któremu zbyt słabo przeciwstawiają się — wciąż według autora — językoznawcy. W wielu punktach swych uwag szczegółowych dr Szerer ma rację. Np. trafne jest takie spostrzeżenie: „Dzieci, które w domu zdolano uchować przed *wyrażaniem się* (tzn. przed używaniem słów wulgarnych), w zetknięciu się z szerokim gronem szkolnych rówieśników natychmiast” zaczynają mówić wulgarnie. „Na dorosłych podobny urok rzucają śmieci językowe” pojawiające się w prasie, radiu, żywej mowie. Właśnie jeśli chodzi o tę żywą mowę, o język potoczny, autor nie bez słuszności narzeka na zalanie jej przez tandetę językową i trywialność. Poszczególne pozycje wyrazowe lub frazeologiczne, atakowane przez autora, wymagałyby pewnych wyjaśnień. Oczywiście, słuszne jest utyskiwanie na natrętność takich wyrazów lub połączeń wyrazowych jak *w skali*, *na bazie* itp. Autor zdaje się zresztą nie pamiętać, że niejedna z tych modnych form przedostała się do prasy z języka rosyjskiego, np. *wiodący* (ros. *wieduszczij*) lub *przeginać pałkę, pałę* (ros. *pieriegibat' pałku*). Nawiasem mówiąc, *przeciągać strunę* (wyrażenie to podsuwa autor, a czynią tak również niektóre słowniki) nie jest dokładnym odpowiednikiem idiomu rosyjskiego, w którym chodzi o „przeciąganie struny w odwrotnym kierunku”. Formy typu *przechył* nie zasługują na potępienie, należą do bardzo produktywnej grupy rzeczowników polskich (znanych też w innych językach słowiańskich), że przypomnę *udźwig, przelew, odpływ, uzysk* i wiele podobnych, utworzonych zupełnie prawidłowo. Sprawa tzw. maskulinizacji form żeńskich stanowi problem dość rozległy. Notowane przez autora artykuły — i nie tylko przez niego — wahania w rodzaju „długoletni pracownik, odznaczona Krzyżem Zasługi” (mowa oczywiście o kobiecie) są odbiciem złożonego procesu krzyżowania się elementów formalnych i znaczeniowych w języku. Tytułowe zdanie: *pani doktor poszła do pani profesor* (a jak inaczej powiemy, nie chcąc wychodzić poza ramy swobodnej mowy?) bardzo dobitnie zaznacza „żeńskość” osób, o których mowa. Formalnym wykładnikiem tej żeńskości jest właśnie nieodmienność rzeczowników, odnoszących się do kobiet, na co przed kilku laty zwróciła uwagę prof. A. Obrębska-Jabłońska. Porównajmy zdania: *widziałem doktora Dzika — widziałem doktor Dziki*; nie co innego, ale forma drugiego z nich (brak końcówek przypadkowych) wyraźnie wskazuje, że mowa o kobiecie. Zresztą, jeśli chodzi o tytuły zawodowe, sprawa jest rzeczywiście skomplikowana. To prawda, nikt nie nazwie *pielęgniarki — pielęgniarem*, chociaż można spotkać *lekarki*, które chcą, by je nazywać *lekarzami*. Ale życie jest bogatsze niż nasze sądy. Oto mamy wycinek z nr 26 „Głosu Robotniczego” pt. *Nie chcę być szwaczem!* Pewna pani pisze, iż „całe lata pracowała jako *szwaczka*, dawniej jako *krawcowa*, a ostatnio chcą ją zaangażować jako *szwacza*”. Podpisana kończy wymówką: „Czy rzeczywiście muszę być szwaczem?” — Niekoniecznie, to zależy od giętkości umysłowej właściwego urzędnika...

W zakończeniu swego artykułu dr Szerer wzywa do „planowego reagowania” na „wyrządzanie szkód polszczyźnie”, temu dobru społecznemu i narodowemu. Apel jak najślusniejszy, ale czyżby Sz. Autor nie wiedział, że działania w zakresie kultury języka są w Polsce prowadzone? Nie mówiąc już o naszym piśmie, o prowadzonym przez prof. Doroszewskiego radiowym poradniku językowym (o czym autor wspomina), o działalności prof. Klemensiewicza i innych językoznawców, przede wszystkim pracę w tej dziedzinie prowadzi Towarzystwo Kultury Języka, którego oddziały — nie mówiąc o oddziale stołecznym — ogarniają coraz większe obszary naszego kraju.

\*

O odczytach organizowanych przez to Towarzystwo informuje — czasem co prawda nie najściślej — prasa stołeczna i wychodząca w innych miastach. Tak np. czyni to „Głos Olsztyński” (nr 11), który w jednym ze styczniowych numerów (nr 12)



podaje również wzmiankę o udekorowaniu prof. dra W. Doroszewskiego odznaką „Zasłużonym dla Warmii i Mazur” — m.in. w związku z zainicjowanymi i kierowanymi przez prof. Doroszewskiego pracami badawczymi nad gwarami tego regionu.

A skoro już jesteśmy przy gwarach, warto odnotować kolejny odcinek cyklu *Z gwary studenckiej* pt. *Pofiluj, proszę!* (nr 2 „Ilustrowanego Magazynu Studenckiego ITD”). Francuskiego pochodzenia czasownik *filować*, znany gwarze złodziejskiej i politycznej (przed I wojną światową) bardzo rozkrzewił się w środowiskowej gwarze studenckiej, tak pod względem słotwórczym (formy pochodne *przyfilować*, *filunek*, *filownik*) jak znaczeniowym (co najmniej osiem znaczeń od «patrzeć» przez «lgać» aż do «pieścić, całować», które to znaczenie znane było też tzw. gwarze ochweśników, czyli obraźników).

Kontynuuje też publikowanie fragmentów swego *Słowniczka warszawskiego* A. Kroh (nr 4 „Stolicy”).

A. S.



## OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

### *Orzeł, Orła*

Ob. Zbigniew Jastrzębski z Gdyni-Orłowa prosi o wyjaśnienie, jak należy odmieniać nazwisko *Orzeł*: widzę *Orła* czy widzę *Orzeła*? — Formę *Orzeła* odczuwam jako rażącą i tak bym nie powiedział ani bym nie polecał tak mówić, opierałbym się zaś na tej zasadzie, że rzeczowniki pospolite, kiedy są używane w funkcji nazwisk nie otrzymują formy odrębnej, szczególnej odmiany. Weźmy na przykład takie nazwisko jak *Kwiatek* — jest to, zauważmy przy sposobności, jeden z najstarszych typów nazw osobowych: nazwa *Kwiatek* jako nazwa osoby wymieniona jest w bulli z 1136 r., gdyby więc mierzyć arystokratyczność nazwiska jego dawnością, to nazwisko tego właśnie typu wypadłoby uznać za najbardziej arystokratyczne jako najdawniejsze. Wyrazu *nazwisko* nie należy tylko brać w jego ścisłym dzisiejszym znaczeniu. Komu by przyszło do głowy czy w wieku dwunastym, czy w którymkolwiek z wieków późniejszych powiedzieć inaczej niż — mając na myśli osobę — *dałem Kwiatkowi, widziałem się z Kwiatkiem*? Tak chyba każdy odruchowo powie i dziś. To samo dotyczyłoby i innych nazwisk tego typu, a więc takich jak *Pasek, Dudek, Orzeł, Niemen*. W związku z ostatnim nazwiskiem pewien publicysta napisał niedawno, że ja „nie dam rady”, jeżeli będę polecał odmianę nazwiska: *Niemen*, dopełniacz *Niemna*, bo młodzi miłośnicy tego piosenkarza mówią i zapewne będą mówić o piosenkach *Niemena*. Z tym „dawaniem rady” jest pewne nieporozumienie. Ja w zakresie form języka polskiego nie mam żadnej władzy administracyjnej i nie mam egzekutywy. To, co uważam za słuszne, umieszczam w redagowanym przez siebie Słowniku Języka Polskiego i za to, co jest w Słowniku, ponoszę odpowiedzialność — ale nie wobec tych, którzy przygodnie gwałcą ustalone normy społeczno-językowe i robią błędy. Z doradzaniem mi, żebym nie był zbyt kategoriyczny, spotykam się rzadziej niż z zarzutami zbytnej tolerancji i liberalizmu w stosunku do popełnianych błędów językowych. Językoznawca bywa często w kłopotliwej sytuacji i często może mu się przypomnieć trochę cynicznie brzmiące pouczenie, jakiego miał udzielić papież Grzegorz VII misjonarzom, których wysyłał do Brytanii: wykonywać, co się da, uświęcać, czego się nie da wykorzenić. Gramatyk nie wykonywa w związku z formami językowymi żadnych takich czynności, na których miałyby polegać ich „uświęcanie”: po prostu, jeżeli jakaś forma upowszechni się i wejdzie w zwyczaj, gramatykowi nie pozostaje nic innego jak przyjęcie tego do wiadomości, nawet jeżeli tę formę potępiał i przeciwdziałał jej szerzeniu się. W tej sytuacji znalazłem się na



przykład w stosunku do wyrażenia *w oparciu o*, które w ciągu ostatnich lat kilkunastu rozpanoszyło się w języku i dziś bodaj mało kogo razi. Proces jego szerzenia się jest charakterystycznym przykładem działania w życiu języka czynników żywiołowej inercji, czyli bezwładu, i to było jedną z przyczyn, dla których oceniałem to wyrażenie ujemnie. W tomie piątym naszego Słownika wydrukowanym w 1963 r. konstrukcji *w oparciu o* nie umieściliśmy. Zwroty w rodzaju „analiza w oparciu o potrzeby” wydają mi się tak samo rażące brakiem przemyślenia i nieudolnością stylistyczną, jak wydawały mi się wtedy, kiedy dopiero zaczynały się szerzyć, toteż wyrażenia *w oparciu o* osobiście nie używam; gdybym jednak miał kategorycznie potępiać wszystkich tych, którzy tego wyrażenia używają, to krąg moich znajomych, a nawet kolegów po fachu musiałby się znacznie zwęzić, bo prawdopodobnie porażaliby się, jak to zwykle w takich wypadkach bywa. W sprawie odmiany nazwisk typu *Orzeł* czy *Niemen* konflikt językoznawcy z ogółem mówiących jest mniej ostry, a dlaczego, to postaram się wyjaśnić, prosząc autora listu o chwilę cierpliwości. Język polski odznacza się wielką obfitością i komplikacją form. Formy mianownika *świat* i miejscownika *świecie* różnią się między sobą nie tylko brakiem końcówki w mianowniku i końcówką *-e* w miejscowniku, ale i postaciami tematu *świat-świecie*, w których wymieniają się ze sobą samogłoska *a* z *e* i spółgłoska twarda *t* z miękkim *ć*. Im więcej takich wymian, tym bardziej skomplikowane są paradygmaty, czyli wzorce deklinacyjne wyrazów. Czasem dokonują się w tych korelacyjnych szeregach form pewne uproszczenia. Wymiana typu *świat: świecie* zachodziła dawniej także w wyrazie *siano*, któremu odpowiadał miejscownik *w sianie*, dziś się mówi *w sianie*, różnic między mianownikiem a miejscownikiem jest o jedną mniej, a mianowicie mniej o wymianę samogłosek *a:e*. Forma dopełniacza *orła* różni się od mianownika *orzeł* końcówką *-a*, brakiem samogłoski *e* i spółgłoską *r* odpowiadającą spółgłosce *rz* w mianowniku, czyli elementów różniących formę od formy jest trzy. Jeżeli wyraz *Orzeł* jako nazwisko otrzymuje w dopełniaczu formę *Orzeła*, to różnica między mianownikiem a dopełniaczem sprowadza się do jednego tylko elementu: końcówki *-a* albo jej braku, a to jest uproszczeniem paradygmatu czyli wzorca odmiany. Takiego samego uproszczenia zwanego wyrównaniem tematu deklinacyjnego dokonują miłośnicy piosenek *Niemen*a w ten sposób odmieniając jego nazwisko. Mnie osobiście ta odmiana razi, moje poczucie językowe, uwarunkowane historycznie, dyktuje mi odmianę *Niemen : Niemna*, gdyby jednak miała się utrwalić odmiana *Niemen : Niemen*a, to refleksje, które przed chwilą wypowiedziałem, pozwoliłyby mi zachować równowagę ducha i nie załamywać rąk. Drugie pytanie korespondenta dotyczy tego, jaką formę powinno mieć nazwisko *Lekki* w liczbie mnogiej: państwo *Lekcy* czy państwo *Lekowie*. Raczej *Lekcy*. Gdyby się kto nazywał *Miły*, to o nim i o jego żonie nie powiedziałoby się państwo *Miłowie*, chociaż właściwie nie byłaby to forma niedorzeczna.



### Żaden

Ob. Waław Karpiński z Ostrowi Mazowieckiej zwraca uwagę na zdanie, które się znalazło w artykule pod tytułem: „Powiat nie ma żadnego wpływu”, a mianowicie: „Jaki mamy wpływ na jego produkcję? Żaden”. Czy nie powinno być, pyta korespondent: „Nie mamy żadnego” albo skrótowo: „żadnego”? — Tak oczywiście byłoby lepiej. *Żaden* to historyczna forma orzecznikowa, to znaczy używana zasadniczo jako imienna część orzeczenia, a nie jako przydawka, czyli jedna z niezbyt licznej serii form takich jak *godzien*, *winien*, *powien*, *pełen*. Niektóre formy orzecznikowe przymiotników tę swoją właściwość składniową straciły albo też z tą formą skojarzyło się znaczenie inne niż to, które ma przymiotnik użyty jako przydawka, na przykład „on jest *powien* swego” — użycie orzecznikowe, „*powien* znajomy mi to mówił” — użycie przydawkowe, w każdym z tych zdań forma *powien* ma inne znaczenie. Forma *żaden* (zaliczana do zaimków) jest używana tylko w tej postaci w funkcji zarówno orzecznikowej, jak przydawkowej (rozwój w takim samym kierunku wykazuje forma *pełen* używana coraz częściej jako przydawka, w takich na przykład zdaniach jak: „jechał wóz *pełen* węgla”, a nie tylko w takich jak: „wóz był *pełen* węgla” — w tym wypadku *pełen* to orzecznik). Z formą *żaden* w funkcji przydawkowej czy orzecznikowej łączy się zawsze przeczenie: „to nie jest *żadna* sztuka” — opuszczanie przeczenia jest refleksem wpływu niemieckiego, tak samo jak konstrukcja „jaki mamy wpływ? — *żaden*”, bo jeżeli *żaden* jest użyte jako biernik, to wygląda to na zależność tej formy od czasownika nie zaprzeczonego.

### Refundować

Drugie pytanie tego samego korespondenta — w jakim znaczeniu i związkach wyrazowych powinno się używać czasownika *refundować*? Na przykład jeżeli wydano pewną sumę z paragrafu x, to czy poprawne będzie sformułowanie polecenia: „zrefundujcie ten wydatek z kredytu takiego a takiego”? — *Refundować* znaczy «zwrócić równowartość czego, na przykład pewnej sumy pieniędzy»; w zacytowanej stylizacji polecenia można było użyć jakiegoś terminu mniej urzędowego, ale niepoprawna ta stylizacja nie jest. Niezupełnie poprawna natomiast jest konstrukcja „poczynić wydatek”, bo z czasownikiem *poczynić* łączyć się musi dopełnienie w liczbie mnogiej: „trzeba będzie poczynić starania” jest dobrze, „poczynić staranie” byłoby źle.

### Komputer

Mgr Anna Szymańska z Warszawy spotkała się ze zdaniem, że wyraz *komputer* należy do żargonu i że nazwą poprawną jest *elektronowa ma-*



szyna licząca, nazwa ta jednak wydaje się jej zbyt długa, prócz tego korespondentka sądzi, że *komputer* pochodzi od wyrazu *komput*, który ma piękną tradycję w języku polskim (*komputowe wojsko*), nic więc nie zmusza do dyskwalifikowania tego wyrazu. — Dawne *wojsko komputowe* i dzisiejszy *komputer* mają tyle wspólnego, że zawierają ten sam prefiks i ten sam rdzeń co wyraz łaciński *computus* «rachunek». Dawny polski *komput* oznaczał «stan liczebny, zwłaszcza stan liczebny wojska uchwalony przez sejm». Z tą tradycją dzisiejszy *komputer* nie ma związku: jest to wyraz przejęty z angielskiego, w języku zaś angielskim jest to neologizm dość świeżej daty, nie ma tego wyrazu jeszcze w małym Słowniku Oksfordzkim, w wydaniu z 1956 r. *Komputer* jako międzynarodowy termin naukowo-techniczny nadaje się do używania i nie ma powodu go zwalczać. Najważniejsze jest to, żeby mieć takie maszyny i móc się nimi posługiwać.

### *Kuweta czy kiuweta?*

Co do francuskiego wyrazu *cuvette*, znaczącego po francusku «miseczka» (prócz paru znaczeń technicznych) w języku polskim pisanego w słownikach *kuweta* i mającego zastosowania w nomenklaturze fotograficznej, to pisownia przyjęta w naszych słownikach nie jest oczywiście zgodna z wymową francuską tego wyrazu; korespondentka stwierdza to i uważa, że nie ma „najmniejszego powodu, aby nie pisać tak, jak się mówi, *kiuweta*”. Ta pisownia również nie oddawałaby wymowy francuskiej: napisanie litery *i* po literze *k* oznacza u nas miękkość tej spółgłoski, tymczasem różnica między fr. *cuvette* a „polską” *kuwetą* dotyczy nie wymowy twardego lub miękkiego *k*, ale wymowy samogłoski w pierwszej sylabie: tą samogłoską francuską jest *u* pisane tak samo jak nasze *u*, ale wymawiane inaczej. W polskim zasobie głoskowym takiej samogłoski w ogóle nie ma, bo nie mamy samogłosek wysokich przednich, którym by towarzyszył ruch zaokrąglenia warg. *Kiuweta* brzmi po polsku trochę osobliwie, bo połączeń miękkiego *k* z samogłoską *u* w wyrazach polskich nie ma, a brzmieniu fr. *cuvette* to i tak nie odpowiada. Lepiej więc pozostać przy *kuwecie*, przyjętej w słownikach.

W.D.



**Do nabycia w każdej księgarni!**

## **MAŁY SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO**

Pod redakcją **S. Skorupki, H. Auderskiej, Z. Łempickiej**  
Warszawa 1968, s. 1034 pl. 180 zł

Podręczny słownik ogólny współczesnego języka polskiego. Zawiera ok. 35 000 haseł. Obejmuje słownictwo najczęściej używane, stanowiące zasadniczy zrąb wyrazów występujących w języku polskim: w literaturze pięknej, naukowej i w mowie potocznej. Podaje znaczenia i odcienie znaczeniowe wyrazów, użycia przenieśne, synonimy, frazeologię, informacje morfologiczne i etymologiczne, zawiera bogaty materiał przykładowy. W części wstępnej, w rozdziale „Formy fleksyjne” zostały podane tabele tych form, czyli wzorce odmiany.

Mały słownik języka polskiego opracowany został na podstawie materiałów do 11-tomowego słownika wydawanego w subskrypcji pod redakcją prof. dra Witolda **D o r o s z e w s k i e g o**. Przeznaczony dla najszerszego kręgu czytelników stanowi niezbędną pomoc w nauce i pracy wszystkich, którzy pragną mówić i pisać poprawną polszczyzną.



**WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA**

---

**PORADNIK JĘZYKOWY**

**miesięcznik**

Cena prenumeraty krajowej:

|            |      |
|------------|------|
| półrocznie | 30.— |
| rocznie    | 60.— |

Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą dokonywać wpłat również na konto PKO Nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „Ruchu”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024, tel. 20-46-88.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabyć w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII O/M.

Bieżące oraz archiwalne numery można nabyć lub zamówić we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych Pan-Ossolineum-PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki oraz w księgarniach „Domu Książki”.

**TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ REGULARNE OTRZYMYWANIE CZASOPISMA**